

Kirył Bułyczow

Biała Śmierć

Szałas W piątek wymyślił aforyzm. Leżał sobie na piasku i wymyślił taki aforyzm:

„Człowiek nie może zrobić tego, czego zrobić nie może”. Nie podobał mu się ten aforyzm. Zmierzchało. Leżał na piasku i wyobrażał sobie, że się opala. Z nieba leje się żar. Mrużył oczy i odganiał chmary drobnych muszek, zasłaniających słońce. Można byłoby odsunąć przyłbicę, ale wtedy zaczynają się mdłości i muszki włączają do skafandra. Zamknął oczy i starał się usłyszeć stuk piłki i głosy kąpiących się. Nie było głosów – muszki wirowały bezdźwięcznie, a plażowicze zostali na Ziemi. Cisza przeszkadzała myśleć.

Przewrócił się na brzuch. Piasek był szary, maleńkie muszelki podobne do pasiastych groszków rozpadały się w palcach na proch. Dotarł już do niego cień „Kompasu”. Cień był długi i rósł z każdą minutą.

Pora była wracać na statek i zająć się czymkolwiek. Można wystrzelić sondę i obserwować, jak zamienia się w biały punkcik i drży w powietrzu. Można ugotować kolację. Albo zjeść ją na zimno. Zabrać się do przeszukania trzeciego przedziału. Powinny w nim być lekarstwa i urządzenia, a tak naprawdę – piętrzyło się w nim potłuczone szkło, pył, strzępki metalu. Lekarz pokładowy wie, że w trzecim przedziale nie może być części do radiostacji. Pawłysz wie o tym, ale mimo to będzie jak archeolog grzebał w śmieciach, dopóki nie przekona się o bezsensie tych poszukiwań.

Przygnębiało go poczucie własnej bezsilności. Wystarczyło ono, aby wywołać jęczącą wrogość do szarego brzegu i zwałów poskręcane go żelastwa, które z przyzwyczajenia nazywał „Kompasem”.

Dziwna maskara wyleciała z kolczastych zarośli, które wpełzały aż na plażę. Usiadła w cieniu statku. Była wielkości psa, ale niezbyt masywna. Ciało jej składało się z wielu segmentów. Wpatrywała się uporczywie w Pawłysza wypukłymi owadzimi oczami. Muszki wirowały i migotały nad nią. W końcu maskara zdecydowała się, podskoczyła i zaczęła tłuc o bok statku, zupełnie jak mucha o okienną szybę.

Pawłysz podniósł się, strzepnął z kolan piasek z muszelkami i powłókł się do włazu. Cztery dni temu otwierał go ponad godzinę i myślał, że mu się to nigdy nie uda. Wydawało się wtedy, że otwarty właz to ratunek. A w rzeczywistości niczego to nie zmieniało.

Maskara stuknęła o hełm. Opędzając się złamał ją w pół. Muszki natychmiast obsiadły resztki. Zamknął luk i podparł go od wewnątrz stalowym prętem. Muszki bały się ciemności i nie

wpadały do środka, ale z nastaniem nocy mógł zjawić się jakiś groźniejszy gość.

Statek był rozbity. To nigdy nie powinno się zdarzyć. Jeżeli już trafi się nieszczęście, powinien wybuchnąć, zniknąć bez śladu. Ale statek rozbity jak samochód o drzewo – w tym jest coś upokarzającego. Wiatr od morza zachybotał ruiną i w zdemolowanym wnętrzu coś zaczęło skrzypieć i pojękiwać.

Nie było energii. Nie było łączności. Gdyby kapitan lub któryś z mechaników przeżył, to może by coś wymyślili. Choć to też wątpliwe. Lekarz pokładowy Pawłysz jak na razie wymyślić niczego nie potrafił. Żeby się nie rozkleić, puszczał sondy, metodycznie przeszukiwał ładownie, doprowadził do porządku mostek, kontynuował dziennik pokładowy i napisał list do Śnieżyny. Kopertę z adresem zwrotnym „Planeta Posterunek” wrzucił do tego, co pozostało po zsywie na śmieci.

Miał jeszcze jedno zajęcie. Najważniejsze. Wanny anabiotyczne. Miały one automatyczny układ zasilający. Temperatura utrzymywała się w granicach normy. To potrwa jeszcze, jak obliczył, przez dwa miesiące. Przy najoszczędniejszym zużyciu energii. Potem koniec. Stanie się ostatnim człowiekiem na tej planecie. Potem też umrze, jeżeli nie zdoła się przystosować do miejscowego powietrza. A jeżeli to mu się uda? To może nawet dożyje sędziwego wieku.

Wyobraził sobie, jak będzie wyglądał jako staruszek w porwanym, wymiętym skafandrze. Wychodzi sobie na schodki przed zapadnięty w bury piasek statek i karmi z ręki wielosegmentowe maskary. Maskary popychają się, kłębią i patrzą na niego wzrokiem surowym i uważnym. Staruszek wraca potem do czystutkiej, acz rozpadającej się kabiny, przystrojonej suchymi gałązkami, i przez łyżę ogląda poźółkłą fotografię Śnieżyny. Nie zestarzała się. Ciągle ta sama, wsparta o pień brzozy, patrzy na staruszka błękitnymi oczami.

Można zdecydować się jeszcze na następujący krok: odłączyć wanny anabiotyczne. Dla śpiących przejście wąskiej kładki między życiem a śmiercią byłoby niezauważalne. Energię układu zasilającego można by wykorzystać w jednym z przedziałów statku i przeżyć bezpiecznie kilka lat. Myśląc o tym czuł się jeszcze paskudniej. Zajrzał do komory reanimacyjnej; ściślej – do dawnej komory reanimacyjnej. Zaglądał tu codziennie. Liczył na cud. Za drzwiami trafiał na wciąż tę samą beznadziejną plątaninę kabli i połamane przyrządy. I jak długo by się im przyglądać, żaden przewód nie wróci na swoje miejsce. Nie, obudzić załogi rezerwowej Pawłysz nie da rady.

Ale w końcu jeszcze żyli. Nie był sam. Zostawała mu jeszcze troska o żyjących.

Przedział anabiotyczny ukryty był w centrum statku, ubezpieczony amortyzatorami, dzięki czemu prawie nie ucierpiał; Temperatura była tu wyraźnie niższa niż w korytarzu. Pod matowymi pokrywami wanien majaczyły ludzkie postacie.

– Różnie to bywa – oznajmił termometrowi Pawłysz. – Dzisiaj wpadliśmy tu my. Jutro kto inny. Weźmie i tu wpadnie.

Wiedział, że nikt tu nie wpadnie. Nie było po co. Kiedyś, wiele lat temu, była na planecie grupa zwiadu kosmicznego. Spędziła tu dwa miesiące. Albo dwa tygodnie. Sporządziła mapy, pobrała próbki miejscowej fauny i flory, ustaliła, że dzień tutejszy ma długość czterech dni ziemskich, a noc czterech ziemskich nocy. Ustaliła też, że póki co planeta nie jest ludziom do niczego potrzebna. I wróciła na Ziemię. A może nawet nie było i tej grupy? Przyleciał automatyczny zwiadowca, pokrzyżył.

Stuknął palcem w pokrywę wanny, jakby chciał obudzić śpiącego pod nią Gleba Bauera, uśmiechnął się i wyszedł.

Według jego obliczeń tutejsze słońce powinno już opuścić się nad samo morze. Moment ten mógłby być interesujący dla przyszłych badaczy. Przed kolacją należało więc wybrać się na plażę i sfilmować zachód słońca. Poza wszystkim, to powinno być piękne.

To było piękne. Słońce przesunęło się po stycznej do jaskrawozielonej linii horyzontu. Było pasiaste – po liliowych kreskach przebiegały, eksplodując, białe iskierki. Niebo wokół słońca opałowe, dalej stawało się głęboko szmaragdową płaszczyzną. Za plecami stała już czarnozielona noc, a szare obłoki, które zatrzymały się gdzieś na lądzie, szybko powracały nad morze, zasłaniając jasno świecące gwiazdy. Zarośla na diunach zamieniły się w czarną bryłę, z której wnętrza rozlegały się posykiwania, trzaski i mamrotania na tyle groźne, że zdecydował się nie odchodzić od statku. Filmował zachód słońca amatorską kamerą ręczną – jedyną, jaka ocalała na pokładzie – a za plecami słyszał dziwne szmery. Chciał, żeby taśma skończyła się jak najszybciej, żeby jak najszybciej słońce rozlało się w pomarańczową plamę i utonęło w morzu. Ale taśma nie kończyła się, zostało jej jeszcze na jakieś pięć minut, a i słońce nie spieszyło się do odejścia w noc.

Chmura muszek zniknęła. I to było dziwne. Przez cztery dni przywykł do jej pracowitej, acz nieszkodliwej obecności. Noc groziła czymś nowym, nieznanym, najprawdopodobniej złym. Planeta była jeszcze młoda i na pewno stanowiła teren bezlitosnej walki o byt. Prawdopodobnie pokonanych nie zmienia się tu w niewolników, nie próbuje resocjalizować, ale po prostu zżera.

W końcu słońce, pogrążywszy się do połowy w wodzie, popłynęło na prawo, tam gdzie wzdłuż horyzontu ciągnęło się czarne pasemko wybrzeża. Tworzyło zatokę, w której głębinę wpadł „Kompas”.

– W porządziu! – powiedział sobie Pawłysz. – Skończymy film i zaczniemy pierwsze polarne zimowanie. Cztery doby kompletnej nocy.

Nie mógł zmusić się do czekania, aż słońce zniknie za horyzontem. Palec sam nacisnął guzik „Stop”, nogi same niosły go do wjazdu – najpewniejszego schroniska.

I wtedy zobaczył ognik. Ognik zabłysnął na samym końcu cypla – czarnego paska na horyzoncie, w pobliżu którego toczyło się do wody słońce. Pomyślał, że to promień słońca odbił się od skały czy od fali. Albo zawodzi go zmęczony wzrok.

Po dwudziestu sekundach ogień rozblęsnął na nowo, w tym samym miejscu. Więcej rozblęsków Pawłysz nie widział – słońce stanęło nad cypem, jego pomarańczowe promienie zalewały oczy, oślepiały. Nie mógł dłużej czekać. Wdrapał się do wnętrza statku i, nie zdejmując hełmu i skafandra, pobiegł na mostek.

W ciemności fosforyzował martwy ekran teleoka. Kierował nań kamerę, rzutując zarejestrowany obraz. Być może kamera zauważyła ogień szybciej niż Pawłysz.

Na ekranie słońce przesunęło się wzdłuż zielonej wody, siejąc obłądnie jaskrawe kolory, znowu przebiegały po nim liliowe pasy i wybuchały białe iskierki. Oko kamery podążało za słońcem. Pawłyszowi ze zmęczenia drżały ręce i dlatego szmaragdowe morze lekko dygotało na zaimprovizowanym ekranie.

– Uwaga! – ostrzegł sam siebie. Z prawej strony kadru ukazał się koniec przyładka. I w tym właśnie punkcie zabłysnął płomyk. Ekran zgasł. Zapanowała ciemność. Tylko przed oczami latały czerwone i zielone plamy. Po omacku przewinął film. Wrócił do tego kadru, gdzie błyskał ogień. Słońce zastygło na ekranie. Zastygł i płomyk – biała plamka z prawej strony ekranu.

To było niewiarygodne. To nie mogło się zdarzyć! Ogień powinien się okazać optycznym złudzeniem, halucynacją. Pawłysz tak bardzo czekał na coś, co mogłoby mu wrócić nadzieję! Umysł chciał uchwycić się czegokolwiek, choćby mirażu. Ale płomyk nie był mirażem. Kamera też go zobaczyła.

– A właściwie dlaczego nie? – zapytał. Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

– Po co ja tu sterczę? Słońce schowało się. Nie przeszkadza patrzeć na cypel. A może światełko zniknęło?

Pomyślał, że jeżeli gdzieś niedaleko są jakieś rozumne istoty, rozumne na tyle, że posiadają silne źródło światła, to oszczędzanie akumulatorów awaryjnych jest bez sensu. Na oślepał odszukał guzik, włączył na całą moc oświetlenie i statek ożył. Zrobiło się ciepło, ściany oddaliły się od siebie, podstępne przedmioty – kawałki połamanych rur, płatanina przewodów, ostre krawędzie rozdartego poszycia – nie przeszkadzały teraz biec przez korytarz do włazu, który też przestał być czymś wrogim i strasznym.

Oparł się rękami o brzeg luku, wysunął po pas na zewnątrz i liczył patrząc na malinową plamę na horyzoncie: raz... dwa... trzy... pięć! Błysk!

Błysk trwał sekundę, zgasł i Pawłysz zdążył ułożyć się wygodnie na brzegu włazu, spuścić w dół nogi w ciężkich buciorach, nim światełko znów się pojawiło. Miało przyjemny kolor. Jaki? Nadzwyczaj przyjemny biały kolor. A może żółty?

Kiedy słońce całkowicie zaszło, ogień przestał migać. Świecił teraz równo, jakby ktoś, długo bawiący się wyłącznikiem, uwierzył wreszcie w przyjście nocy, włączył światło, siadł za stół, aby zjeść kolację. I czekać na gości...

Z ciemności rzuciło się na Pawłysza coś żywego. Nie zdążył podciągnąć nog i skryć się we

wnętrzu statku, wyciągnął jedynie przed siebie ręce. „Coś” okazało się znaną mu już maskarą. Oplatała suchymi nóżkami wyciągniętą rękę i owadzie oczy błysnęły wyrzutem, gdy odbiło się w nich światło z włazu. Strząsnął maskarę tak jak strząsa się pająka. Upadła na piasek. Zawrót głowy. I dopiero wtedy człowiek zrozumiał, że zapomniał opuścić przyłbicę i oddychał powietrzem planety. Uświadomienie sobie tego przyprawiło go o mdłości. Zamknął luk i usiadł wprost na podłodze. Opuścił przyłbicę i zwiększył dawkę tlenu, żeby szybciej przyjść do siebie.

Teraz trzeba dać znak, myślał. Trzeba wystrzelić raketę, zapalić reflektor, Trzeba wzywać pomocy.

Ale rakiet nie było. A nawet jeżeli gdzieś były, to poszukiwania mogą zająć Bóg wie ile czasu. Reflektory rozbite. Jest latarka. Nawet dwie latarki ale bardzo słabe. Latarki hełmowe. No cóż, trzeba spróbować.

Długo stał przy otwartym włazie zakrywając dłonią latarkę i odsłaniając ją. Wolną ręką oganiał się od maszkar. Światelko nie reagowało. Świeciło nadal równo i jasno. Właściciele światelka wyraźnie nie domyślali się, że gdzieś tam komuś źle się dzieje. Wywłókł ze statku masę przeróżnych rupieci, które nadawały się do spalania. Ale ognisko było ciemne – powietrze miało małą zawartość tlenu. Maskary, które przyleciały zwabione płomieniem, wpadały weń i zwęglaly się sycząc jak mokre drewno. Zużył cały zapas spirytusu i po dziesięciu minutach walki z maskarami musiał zrezygnować ze swego pomysłu.

Odszedł od włazu i obserwował płomyk. Patrzył jak na jasne okienko w baśniowym domku leśniczego, jak na ognisko myśliwych. A może to blask ognia pod kuchnią ludożercy?

– Dobra – powiedział maskarom, kłębiącym się w malowniczych zwojach nad dogasającymi resztkami szafek, książek i papierów. – Idę.

Dobrze jest podjąć decyzję. Wykonanie jej wymagało działań, wielu i bardzo rozmaitych działań. Szybkich działań. Przypominało to w jakiś sposób kłopoty, jakie ma każdy, kto decyduje się wyjechać na urlop; trzeba posprzątać, zostawić pokarm rybkom, umówić się z sąsiadką, żeby podlewała kwiatki, kupić gdzieś stereofilmy, zadzwonić do przyjaciół, poganiać za biletami.

Po pierwsze udał się do komory anabiotycznej. Wyprawa do płomyczka mogła potrwać ze trzy godziny i przez ten czas nie powinno zakłócić, snu rezerwowej załogi. Jeżeli coś się z nimi stanie, cała wyprawa przyda się psu na budę. Odłączył zasilanie wszystkich urządzeń statku i przyłączył do zasilacza komory anabiotycznej mocno już rozładowane akumulatory awaryjne. Sprawdził temperaturę w wannach, przejrzał wszystkie przyrządy kontrolne. O ile się orientował, komorze nic nie groziło. Nawet jeżeli nie wróci przez miesiąc. Co prawda, jak się człowiek wybiera na trzygodzinny spacer po plaży, to wcale nie musi planować wszystkiego na miesiąc z góry, ale spacer zapowiadał się trochę niecodziennie. Nie bez podstaw sądził, że będzie pierwszym człowiekiem, który wybrał się nocą na spacer brzegiem zielonego morza.

Należało się więc zatroszczyć o siebie, zrobić zapasy wody i jedzenia. A na końcu tak

sprytnie zablokować uszkodzoną pokrywę włazu, żeby nawet słoń (gdyby przypadkiem trafił się tu jakiś słoń) nie mógł sobie z tym poradzić.

Załatwiwszy to wszystko, wyszedł na zewnątrz i nieoczekiwanie poczuł głęboki smutek. Zmrok pokrył niegościnnie świat wszystkimi odcieniami czerni i szarości, i jedyną bliską sercu rzeczą był zgruchotany „Kompas”, smętnie pojękujący pod uderzeniami wiatru, samotny i bezsilny.

– No, no, tylko się nie rozklejaj! – przykazał statkowi Pawłysz i pogłaskał kadłub, pokryty szramami termicznymi podczas awaryjnego lądowania. – Niedługo wrócę. Dojdę brzegiem do ognia i wracam.

Płomyczek świecił równo. Pawłysz po raz ostatni sprawdził przewody tlenowe. Tlenu powinno wystarczyć na sześć godzin, w ostateczności można oddychać powietrzem planety. Choć to zajęcie przykre i nader szkodliwe. Wyciągnął miotacz promieni, wycelował w nadbrzezną skałkę i nacisnął spust. Skałka rozpadła się jak przecięta nożem. Połówki rozjarzyły się jaskrawą purpurą. Koniec. Trzeba iść.

Rozgrzebał butem resztki ogniska i przeskoczył przez nie. Zrobił to celowo, nie przez głupią zachciankę. Chciał po prostu sprawdzić, czy dobrze przymocował ekwipunek.

Najwygodniej było iść skrajem plaży. W tym miejscu fale, uderzając o brzeg, ubiły piasek tak, że nogi się w nim nie zapadały. Latarka nie była na razie potrzebna. Widział wszystko, co powinien był widzieć. Ciągące się w nieskończoność pasemko piasku, ciemna woda z lewej, czarne zarośla na wydmach z prawej. I tak aż do światełka.

Przeszedł kilka kroków, przystanął, odwrócił się i popatrzył na statek. Statek był ogromny i strasznie samotny. Oglądał się kilka razy – „Kompas” zmniejszał się, zlewał z niebem i gdzieś pod koniec pierwszego kilometra Pawłysz zrozumiał, jaki jest mały i bezbronny. Ogarnął go strach, pragnął biec do statku i skryć się we włazie. Pomyślał nagle, że zapomniał czegoś strasznie dla wyprawy ważnego i czy chce, czy nie chce, musi wrócić. Ale kiedy wymyślał, czego też mógł zapomnieć, odezwał się wstyd i poczucie obowiązku. Nie wolno wracać. Na wszelki wypadek wyobraził sobie, że jest żoną Lota, która obróci się w słup soli, jeżeli tylko spróbuje się obejrzeć. I do rana zliżą go żądni krystalicznej soli mieszkańcy zarośli.

Postanowił śpiewać. Śpiewał okropnie. Zaroślom śpiew Pawłysza wyraźnie nie przypadł do gustu, bo pod koniec drugiej zwrotki ucichły. Piasek pod nogami monotonicznie poskrzypywał. Czasami fala dopełzała do stóp wędrowca i ten skręcał nieco, omijając pianę. Raz przeraziła go jaśniejąca na drodze plama. Zwolnił .kroku, namacał ręką miotacz promieni. Plama powiększała się i zobaczył, jak coś czarnego, wielołąpego wysuwa się z niej, czając się do skoku. Ale mimo to szedł, trzymając przed sobą miotacz. Szedł i czekał, żeby plama zaatakował pierwsza.

Plama okazała się być wielką muszlą. A może to był pancerz jakiegoś morskiego stworzenia? Kilka maszkar podpełzło do muszli i cienkimi łapkami zaczęło wyciągać resztki zawartości.

To właśnie maskary wydały się Pawłyszowi mackami zwierzęcia.

– Psik, paskudy! – powiedział im, a one posłusznie uciekły w krzaki. Spod muszli wyskakiwały najrozmaitsze drobne stworzenia, zakopywały się w piasek, uciekały do wody. W ciemnościach trudno było zauważyć, jak wyglądają i co właściwie robią. Niektóre zniknęły w pianie, inne fosforyzowały i błyszczącymi plamkami wirowały na piasku.

Zdarzenie z muszlą uspokoiło Pawłysza. Widać było wyraźnie, że mieszkańcy krzaków i morza mieli na głowie wiele własnych spraw i nie zamierzali wcale rzucić się na człowieka.

Od wyjścia ze statku minęła już godzina i miał za sobą co najmniej pięć kilometrów. W tej chwili niepokoiło go najbardziej jedno: ogieniek nie przybliżał się. Czarny cypel był wciąż tak samo odległy, piasek ciągnął się dalej równą wstęgą. Oczywiście nie mogło to trwać wiecznie. Chociaż średnica Posterunku jest większa od średnicy Ziemi, to jednak planeta jest okrągła i dostatecznie oddalone przedmioty muszą zniknąć za linią horyzontu.

I nagle zobaczył rzekę.

Najpierw usłyszał szum, który zakłócił monotony łoskot przyboju. Potem zobaczył samą rzekę. Wpadając do morza, dzieliła się na wiele odnóg. W tym miejscu brzeg, umocniony twardszym rzeczonym piaskiem, tworzył niewielki półwysep. Między odnogami i z obu stron delty ziemia pokryta była zielonymi plamami porostów i trawą. Jakieś rośliny w kształcie trójzęba rosły wprost w wodzie. Przeprowadzenie przez rzekę na pierwszy rzut oka wydawała się łatwa, ale kiedy parę metrów od wody zapadł się nagle po kostki w miąższość piachu, zrozumiał, że rzeka może kryć w sobie niezbyt przyjemne niespodzianki.

Już następny krok był trudniejszy. Piasek osuwał się, z mlaskaniem wciągał nogi i starał się ich nie wypuszczać.

W końcu, pomyślał Pawłysz, nic mi takiego nie grozi. Jestem w skafandrze i nawet jak wpadnę po szyję, to nóg na pewno nie przemoczę.

I w tym momencie, straciwszy oparcie pod nogami, wpadł po pas w grząski muł. Próba wydostania się z pułapki skończyła się na tym, że pogrążył się jeszcze o parę centymetrów. Skafander był miękki i piasek, który złowił Pawłysza dusił go, unieruchamiał ramiona. Przypomniawszy sobie, że myśliwi,

którzy wpadli w bagno, zawsze chwytają się za jakiś pieniek. Albo choćby za krzak. Pieńka w pobliżu nie było, ale w odległości jakichś trzech metrów rzeczywiście rósł krzak. Pomyślał, że grunt wokół krzaka powinien – być twardszy, i skoczył do przodu.

Jakby popatrzeć z boku, to skok ten musiał wyglądać nieco dziwnie:

stworzenie po pierś zanurzone w piasku wykonuje konwulsyjne ruchy, wyrывa się z pułapki na parę centymetrów, rzuca się do przodu i znika prawie całkowicie.

Skok był pomyłką. Można ją usprawiedliwić tylko tym, że Pawłysz nigdy przedtem nie wpadał w bagno ani w ruchome piaski. Teraz na powierzchni, lekko poruszającej się

i wydymającej w piaskowe pęcherze, widać już było tylko górną część hełmu. Spostrzegł kątem oka, że granica mułu powoli przesuwa się po przezroczystej przyłbicy.

Wszystko to było tak nagłe, że nie zdążył się nawet przestraszyć. Starając się nie robić zbędnych ruchów skierował wzrok na daleki cypel. Płomyk świecił nadal. Czekał. Trzeba było podnieść głowę. Nad piaskiem wystawał już tylko czubek hełmu z niepotrzebną anteną, dostrojoną do częstotliwości nadajnika statku, którego sygnałów nikt już nie usłyszy. Po paru sekundach ogieniek znikł. Znikło wszystko. Zrobiło się ciemno, okropnie ciasno i nie wiadomo było, co robić dalej.

Z ciemności przyszedł strach. Pawłysz oddychał szybko i płytko, choć butle dostarczały uczciwie tyle tlenu, ile było potrzeba. Groźba śmierci przez uduszenie nie istniała, hełm był wystarczająco twardy. Śmierć... Ta myśl przeleciała przez mózg, zaczepiła się o coś i została. Śmierć. Czaiła się w tej dziurze. Zostaniesz tu i umrzesz. Jak wyrzucona na brzeg ryba, jak złapana w pułapkę mysz. Śmierć...

To słowo miało jakąś magiczną moc. Złe, przeciwne naturze słowo. Rozumiał, że nie może ono dotyczyć właśnie jego, dlatego że... dlatego że na niego czekają. Czekają Gleb Bauer i Kira Tkaczenko, czeka nawigator Baturin... Jeżeli Pawłysz nie wróci, zginą. I jeżeli kiedykolwiek przyleci tu jakiś statek, a przyleci na pewno, to przyleci za późno. Ludzie znajdą ciała zmarłych w anabiotycznych wannach, ciała zmarłych, których nikt nie obudził. I rozumieją, że na statku ktoś jeszcze był. Będą go szukać. I oczywiście nigdy nie znajdą. Nawet jeżeli planeta zostanie zasiedlona, jeżeli żyć na niej będą miliony ludzi, nikt nigdy nie znajdzie doktora Pawłysza, lat trzydzieści cztery, szatyna, wzrostu metr osiemdziesiąt cztery, oczy niebieskie. Stan cywilny: wolny.

– No, wystarczy – powiedział sobie. – Tak to się można zastanawiać do uszarganej śmierci. Trzeba coś zrobić.

Za plecami twardy piasek. Nie ma co więcej ryzykować. Żadnych prób przesuwania się do przodu. Tylko w tył, w kierunku rzeki.

Spróbował podnieść rękę. To było do zrobienia, choć kosztowało wiele wysiłku. Piasek był ciężki i lepki. Spróbował wyciągnąć rękę przed siebie, ale tylko głębiej pogрузił się w muł i trzeba było na chwilę znieruchomieć, żeby opanować wybuch paniki, jaka na moment nim zawładnęła. Panika była irracjonalna. Ciało, przerażone bliskością śmierci, zaczęło szarpać się i miotać. Pawłysz przeczekał ten moment. I nagle poczuł pod nogami twardy grunt.

– Cudownie! – powiedział, uspokoiwszy buntowników i tchórzy, jacy zagnieździli się w jego ciele. – Wiedziałem, że to trzęsawisko musi mieć jakieś dno. Zwykła dziura. Stoimy sobie na tym dnie i zaraz się wycofamy.

Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Piasek nie chciał za nic rozstać się ze swoją zdobyczą i ciągnął ją w głąb. Dno było śliskie i niepewne. Ale Pawłyszowi mimo to udało się zrobić krok

naprzód po zboczu jamy. I wtedy dopiero poczuł, jak cholernie jest zmęczony. Ciężki piach dławił go. Nie wiadomo czemu wyobraził sobie nurka brodzącego powoli w głębi morza.

– Spokojnie – powiedział. – Już wszystko rozumiem.

Po nieskończeniu długiej minucie prawa ręka dotarła na powierzchnię i odszukała przycisk zaworu awaryjnego. Wdusiła go do oporu i nie puszczała, dopóki powietrze, dławiając gardło, grożąc wypłynięciem oczu z orbit i zatrzymując bicie serca, nie napełniło skafandra na tyle, że następny krok był o wiele łatwiejszy.

Zwolnił zawór awaryjny dopiero wtedy, kiedy wydostał się na powierzchnię do pasa, i wolną ręką przetańczył przyłbicę, zobaczył płonące na cyplu światło.

Siedział na brzegu wyciągnąwszy nogi i pozwalał falom lizać podeszwy butów. Uśmiechał się i podnosił ręce, żeby poczuć, jak łatwo może to zrobić.

Rzeka spokojnie wpadała do morza i nie można było dostrzec miejsca, w którym rozegrał się dramat. Piasek wygładził się i czekał na nowe ofiary.

Ale tak czy owak rzekę trzeba było przekroczyć, żeby iść dalej po równym brzegu, który zaczynał się w odległości jakichś stu metrów od miejsca, gdzie siedział Pawłysz.

Odpocząwszy, wstał i podszedł do krzaków. Muszelki trzeszczały pod butami, z zarośli dobiegał szmer, trzask gałązek i piski. Zatrzymał się. Zdał sobie sprawę z tego, że do miotacza promieni mógł dostać się piasek. Wyjął broń, sprawdził. Lufa była czysta.

Trzymał się z daleka od nieszkodliwej na pozór rzeczki. Wspiął się na niewysoki pagórek i stanął przed zbitą ścianą krzaków. Spróbował rozsunać gałązki, ale kolce były mocno pozczepiane.

Przez kilka minut usiłował znaleźć w ścianie krzaków jakieś przejście. Wreszcie przejechał po nich promieniem miotacza. Zakłębił się biały dym i w zaroślach zapanowała napięta cisza. Pawłysz włączył latarkę hełmową i zobaczył, jak krzewy leczą otrzymane rany. Przez wypalony otwór wysuwały się palce gałązek, chwyciły paznokciami kolców, osypywały suche patyczki. Na ich miejsce natychmiast wyrastały świeże pędy.

Światło latarki zwabiło maskary i po raz pierwszy zobaczył, jak wylatują one przez pojawiające się w ścianie krzaków otwory, które natychmiast się za nimi zamykają.

Wycofał się oganiając od maskar, stukających przezroczystymi skrzydłami po hełmie. Wrócił na brzeg. Najprostsza droga, przez rzekę, nie wchodziła w rachubę. Przez krzaki też nie da się dotrzeć do takiego miejsca w górze rzeki, gdzie nie będą już groziły ruchome piaski. Wracać na statek nie należy. Została trzecia droga – po dnie morza. Wszedł do wody.

Dno obniżało się łagodnie, fale uderzały po nogach, odpychały w stronę brzegu. Powoli kroczył po twardym dnie. Kiedy zanurzył się po pierś, ruchy stały się płynne i niezgrabne, zupełnie jakby wędrował we śnie. Gdzieś tak po pięćdziesięciu krokach dno nagle opadło i Pawłysz znalazł się pod wodą. Płynąć się nie dało – skafander był zbyt ciężki, choć niestety nie

tak ciężki, żeby podeszwy butów pewnie trzymały się gruntu. Przy każdym kroku tracił równowagę, woda wypychała go na powierzchnię. Jak na złość nie mógł wymacać nogą żadnego kamienia. Mógłby go wziąć w rękę i tak obciążony poruszać się łatwiej i pewniej.

Fosforyzujące żyłtka przyskały przed człowiekiem na wszystkie strony. Było ciemno i Pawłysz włączył latarkę, żeby nie zgubić drogi. Z prawej strony było piaskowe zbocze, będące brzegiem rzecznej delty, z lewej dno gwałtownie opadało. Dawało się wyczuć prąd rzeki, woda uderzała w bok, pchała na głębiny i widać było, jak przesuwały się unoszone prądem struzki piasku.

Zszedłszy niżej, trafił na prawdziwą dżunglę wodorostów, śliskich i miękkich. Nikt nie przeszkadzał mu w wędrówce po morskim dnie, nie mógł się jednak pozbyć wrażenia, że jest śledzony przez kogoś, kto próbuje odgadnąć, jak dalece Pawłysz jest silny i niebezpieczny.

Pysk patrzył na niego z wodorostów jedynym wąskim okiem. Światło latarki czołowej załśniło w oku i oko jeszcze bardziej się zwężyło, chcąc zobaczyć, co kryje się pod plamą światła.

Pawłysz zamarł. Gwałtowne zatrzymanie się pozbawiło go równowagi, prąd popchnął go prosto w kierunku pyska. Zamachał rękami, żeby się nie przewrócić i zadarł głowę, nie chcąc wypuścić przeciwnika ze świetlną pułapki. Człowiek był bezbronny, nie miał nawet jak, sięgnąć po miotacz promieni.

Oko zamknęło się, na jego miejscu pojawiła się otwarta paszcza, pełna ostrych jak igły zębów. Pawłysz doskonale zmieściłby się w jej wnętrzu i w mgnieniu oka wyobraził sobie doczepione do pyska odpowiednie ciało i kolczasty ogon. Pysk zamknął paszczkę i znów otworzył oko. Był być może zaskoczony dziwnym zachowaniem się przybysza, który lekko dotykając nogami dna wymachiwał rękami, kolebał się, obracał i przy tym niebezpiecznie zbliżał do pyska.

Potwór nie wytrzymał tego widoku, prawdopodobnie sądził, że Pawłysz chce go zjeść. Pysk nagle obrócił się i rzucił do ucieczki. Torsu nie miał, ogona z kolcami też nie. Zamiast tego było coś w rodzaju ściętej tępo potylicy z płetwami. Pędy wodorostów zawirowały.

Pajęczyna, prawie niewidoczna wśród morskiej roślinności, była słabo naciągnięta i kołysała się w wodzie razem z otaczającymi ją wodorostami. Przerażone zwierzę z rozpędu wpadło w pułapkę i miało się w niej konwulsyjnie. A wokół pajęczyny żwawo uwijały się wielołąpki stworzenia z potężnymi szczękami i wpijały się w pysk, nie zwracając zupełnie uwagi na światło latarki, woda mętniała od krwi i ruchy ofiary stawały się coraz bardziej ospale i bezcelowe.

Pawłysz stracił ducha: wyobraźnia wypełniała podwodną dżunglę setkami zielonych pajęczyn. Wydawało mu się, że każdy krok zaprowadzi go prosto do pułapki. I kiedy ruszył w dalszą drogę, najpierw zawrócił, żeby obejść morskie zarośla. Wielołąpki stwory miały ostre szczęki i skafander nie stanowił ochrony przed takimi drapieżcami.

W głębinie prąd przeszkadzał iść. Przypominało to silny wiatr. W końcu znalazł długi,

podobny do ułamanego palca kamień i wziął go w rękę, żeby nie wypływać przy każdym kroku. Ściana wodorostów falowała i nagle w dziurze między pędami zobaczył zieloną pajęczynę, przy której Stróżowały wielołąpki. A może mu się tylko wydawało?

Idąc wzdłuż zielonej gęstwiny spojrzął na zegarek. Od czasu wyjścia ze statku minęło już dwie godziny. Zarośla przerzedziły się. Widocznie najlepiej żyło im się tam, gdzie słodka woda rzeki mieszała się z wodą morską. Znaczyło to, że można szykować się do wyjścia. Podróż po morskim dnie zbliżała się do końca. Bardzo chciał być już na brzegu, gdzie żyją ruchliwe, ale zupełnie nieszkodliwe maskary. Zaczął wspinać się po dnie i, zadarłszy głowę do góry, zobaczył przez cienką warstwę wody migocące gwiazdy i pasemka piany na brzegach fal.

I nagle silnie uderzono go w plecy. Instynktownie rzucił się do przodu, uderzył czołem w przyłbice i spróbował się obejrzeć. Szlag go trafiał, że obraca się tak powoli, żeby stanąć z atakującym twarzą w twarz.

Z tyłu nie było nikogo.

Postać chwilę, wpatrując się w ciemność, wodząc wokół siebie światłem latarki i znowu poczuł uderzenie w plecy. Zupełnie jakby jakiś dowcipniś wesolutko go zaczepiał.

– Ach, tak! – powiedział Pawłysz. – Róbcie sobie, co chcecie. Ja wychodzę na brzeg.

Wykonał znowu obrót wokół własnej osi, nagle jednak szybko się odwrócił i stanął nos w nos z ryjowatym stworzeniem, podobnym do ogromnego robaka. Stworzenie, zorientowawszy się, że zostało nakryte na gorącym uczynku, błyskawicznie popłynęło w górę, wyskoczyło z wody i zniknęło.

– No i zawarliśmy znajomość – rzucił za nim Pawłysz. Zrobił jeszcze jeden krok i poczuł, że woda rozstępuje się. Stał w niej po szyję. Brzeg był pusty i ciągnął się daleko, aż do ognika (który zauważył najpierw) równym pasmem piasku. Rzeka szumiała gdzieś daleko, w żaden sposób nie mogąc już przerwać jego wyprawy. Wyrzucił kamień i podniósł nogę, żeby wyjść z wody. I wtedy ktoś chwycił go za drugą nogę i silnie pociągnął w dół.

Woda zaczęła się burzyć. Pawłysz stracił orientację i rozumiał tylko, że wloką go w głąb, co było mu bardzo nie na rękę. Starał się wyrwać nogę, włączyć latarkę, wystrzelić w tego, kto wciąga go do wody – wszystko równocześnie.

W końcu latarka zapaliła się, ale w mętnej wodzie nie mógł dostrzec swojego wroga; wtedy, wyciągnąwszy miotacz, wystrzelił w tę stronę, gdzie prawdopodobnie było to coś. Promień miotacza był bardzo jaskrawy, chwyt zelżał. Pawłysz usiadł na dnie i pojął, że do wody próbował go wciągnąć swawolny robal, który wił się teraz rozsieczony promieniem miotacza na dwoje. Zrobiło mu się żal robaka. Pomyślał, że nie chciał się on po prostu rozstać z człowiekiem, który tak bardzo go zainteresował.

Już zamierzał wyjść na brzeg, gdy z wody wyskoczyło stado wąskich, wrzecionowatych ryb, zwabionych widocznie zapachem krwi. Było ich wiele, bardzo wiele i widok starcia połówek

robaka z drapieżcami był przerażający. Stał i obserwował nierówną walkę. Kiedy jednak jedno z wrzecion rzuciło się w jego stronę, Pawłysz zrozumiał, że najwyższy czas wydostać się na brzeg,

Wrzeciono wgrzyzło się Pawłyszowi w bok i rwało mięśnie jak zły pies. Trzeba było rozciąć napastnika promieniem. Wtedy inne, jakby usłyszały wołanie o pomoc, porzuciły robaka i popędziły za Pawłyszem. Ten wycofywał się na brzeg, niszcząc drapieżniki promieniem miotacza, ale wydawało się, że na miejsce zabitych napływają następne i następne, zabierając się do zżerania swych współplemieńców. Dwa razy napastnicy dobrali się do skafandra, ale tkanina nie poddawała się, więc szarpały i dziobały materiał, którego wytrzymałość zdawała się zdwajać ich siły.

Jednak jedno z wrzecion przegryzło skafander. I nogę Pawłysza. Ryknął z bólu i poczuł, że przez dziurę do skafandra leje się woda. Widział, jak ciągle nowe wrzeciona wpijają mu się w nogi i rozpaczliwe parł do brzegu, wodząc po wodzie słabnącym promieniem miotacza. Woda kipiała, wybuchały fajerwerki iskier i kłęby pary.

Wydostał się na brzeg, ciągnąc ze sobą wczepione w skafander drapieżniki, a właściwie nie drapieżniki, a ich części, bo wszystkie wrzeciona przecięte były promieniami. Objął kostkę, przeciągnął rękami wzdłuż łydki, żeby pozbyć się wody ze skafandra.

Łydka rwała. Czuł, że krwawi, ale zatamować krwi nie miał czym. Popęłnił niewybaczalny błąd: on, lekarz, nie wziął ze sobą nawet plastra.

– Strzelać trzeba do takich! – pouczył sam siebie. – Myślałem, że spędzę uroczy wieczór. Spacerok przy księżycu!

Poczuł, że jest strasznie zmęczony, że chce się spokojnie wyciągnąć i nigdzie już dalej nie iść. Nie chciał nawet wracać na statek, bo wracać można było tylko po dnie morza.

Zaryj się w piasek i śpij! – podpowiadało zmęczone ciało. – Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Odpoczniesz dwie-trzy godziny i pójdiesz dalej.

Trochę go mdliło i oddychał z trudem. Zrozumiał, że przez dziurę dostaje się do skafandra miejscowe powietrze. Pech. Odwinął kawałek sznurka, wiszącego mu przez ramię niczym akselbant, promieniem miotacza odciął mniej więcej półmetry kawałek i założył opaskę uciskową poniżej kolana. To nie było najmądrzejsze; noga zdrętwieje i będzie jeszcze trudniej iść, ale na mieszaninie powietrza własnego i miejscowego też się daleko nie zajędzie.

Tnąc sznur zauważył, że promień miotacza jest coraz słabszy. Za często strzelał, a może broń wyładowała się wcześniej, jeszcze na statku? Schował miotacz. Pozostawał mu nóż, ale była to dość wątpliwa obrona.

Przy okazji dokonał jeszcze jednego niemiłego odkrycia – w czasie walki otworzył mu się w jakiś sposób tornister i zapasy żywności dostały się rybom.

Na dnie tornistra poniewierała się tylko tubka z sokiem. Wypił połowę, a resztę starannie

schował.

Najrozsądniej byłoby wrócić na statek. Może tam uda się naładować miotacz, i, co najważniejsze, odnowić zapasy wody, zmienić skafander. Dalsza droga nie miała sensu. Z każdym krokiem naprzód możliwość powrotu stawała się coraz bardziej problematyczna, tym bardziej że nie wiedział, co go tam w drodze czeka. Może na przykład czynny wulkan?

Żeby nie zadrećcać się wątpliwościami, Pawłysz wstał i szybko poszedł w stronę płonącego światełka, nie oglądając się za siebie.

Chciało mu się pić. Kiedy człowiek wie, że zostały mu jeszcze dwa łyki wody, wtedy tym bardziej chce mu się pić. Żeby o tym nie myśleć, skoncentrował się na bólu w nodze. Prawdę powiedziawszy, po przejściu dwustu kroków nie musiał się zbytnio wysilać, noga dokuczała mu tak bardzo, że myślenie o czymkolwiek innym było raczej niemożliwe. Brakuje jeszcze tego, żeby ukąszenie było jadowite, pomyślał. Nic nie stało na przeszkodzie, żebym wyszedł na brzeg, jak tylko je zobaczyłem, ale nie:

musiałem stanąć i gapilem się na te bydłatka. Straciłem całą minutę.

Siły charakteru starczyło mu na pół kilometra. Potem trzeba było usiąść, rozluźnić sznur i zwiększyć dopływ tlenu. Mimo to ból nie ustępował. – Wygląda na to, że straciłem dużo krwi – powiedział sobie Pawłysz i, spojrzawszy na sytuację z boku, ocenił ją obiektywnie: nie dojdzie.

– Muszę dojść! – powiedział. – Tam czeka Gleb. I cała rezerwowa załoga.

Znowu zacisnął sznur. Odpoczynek nic nie zmienił, tylko tlen na darmo uszedł w powietrze. Dokuszykał do zarośli. W tym miejscu krzaki były wyższe, mniej kolczaste i bardziej przypominały drzewa. Znalazłszy prostą gałąź próbował odciąć ją nożem, ale ręce odmawiały posłuszeństwa i trzeba było użyć miotacza promieni.

Szedł dalej, opierając się na giętkiej lasce i wlokąc za sobą chorą nogę. Prawdopodobnie przypominał zabłąkanego na pustyni wędrowca albo badacza polarnego z zamierzonych czasów, starającego się ostatkiem sił dotrzeć do bieguna. I jeżeli za badaczem polarnym powinien biec wierny pies, to Pawłyszowi też dotrzymywano towarzystwa. Co prawda lejące za nim maskary nie były tak przyjazne jak pies, ale wiernie nie opuszczały go w drodze. Maskary były nienamolne, można nawet powiedzieć, że zachowywały się bardzo uprzejmie. Grzecznie czekały, żeby wlokąca się z trudem dwunoga istota wreszcie upadła.

Kiedyś będą mieszkali tu ludzie, myślał Pawłysz. Pobudują drogi i domy.

Być może jedną z ulic nazwą imieniem „Kompasu”. Będą wieczorami po przebitych wśród zarośli ścieżynkach przychodzić na brzeg zielonego morza, będą zachwycać się pasiastym słońcem, szmaragdową wodą, a oswojone maskary zajmą się dziećmi albo będą rozsiadać się na ramionach swych właścicieli.

Być może ludzie nauczą się zbierać zielone pajęczyny i tkąć z nich wytworne szale – puszyste i lekkie. A póki co on, Pawłysz, kuszyka po piasku i prześladują go zupełnie

nioswojone maskary, które wcale nie wiedzą, że człowiek to pan stworzenia, i traktują go jako potencjalną kolację. Jest absolutnie sam.

Ale kto zapalił światełko? Kto czeka na wędrowca za otwartymi okiennicami? Czy ktoś życzliwy? Zdziwi się? Wystrzeli na powitanie, przerażony się nieznajomego? Przecież jeżeli istoty rozumne pojawiły się tu stosunkowo niedawno, to mogą się okazać rozumne w zupełnie niewystarczającym stopniu i wcale nie mieć zamiaru spieszyć z pomocą jakiemuś tam kosmonaucie.

Teraz najważniejsze – dojść. To nieważne, czy czeka tam przyjaciel czy wróg, wulkan czy krzew gorejący. Jeżeli Pawłysz pozwoli, aby opadły go wątpliwości, nie starczy mu sił. Upadnie i uszczęśliwi segmentowe maskary w sposób, na jaki sobie wcale nie zasłużyły.

A tymczasem płomyczek zbliżał się. Brzeg dość ostro skręcał w kierunku cypla, na którego końcu daleko, ale o ileż bliżej niż przedtem, świecił ogieniek. Krzaki odsuwały się od brzegu przedzielone niewysokim skalistym garbem – grzbietem przyładka. Włączywszy na chwilę latarkę, Pawłysz zobaczył czarne skały, zębate jak ściany starej baszty. Trzeba było wyłączyć latarkę – maskary rzucały się do światła, każde uderzenie odzywało się eksplozją bólu, który podpełzał podstępnie aż do bioder, i nawrotem mdłości.

Zrobiło się jeszcze ciemniej, obłoki zamieniały się w grubą warstwę chmur, z której zaczął padać gęsty drobny deszczyk, ściekający cienkimi strużkami po przyłbicy. Pawłyszowi zachciało się nagle poczuć na twarzy krople deszczu. Podniósł przyłbicę i odchylił głowę. Spadające na czoło krople były ciepłe i pachnące, niosły oszałamiające aromaty ziemi, pachnących traw, głębokich lasów, pełzających po bagnach egzotycznych kwiatów, szczelin wypełnionych lawą, lodowców porośniętych błękitnymi mchami, próchniejących pni, z których nocami wylatują różnokolorowe iskry...

Rozpaczliwym wysiłkiem, prawie już tracąc przytomność, porażony widziadłami, które przyniósł ciepły deszcz, zatrzasnął przyłbicę. Trzeba było sięść na piasku, oddychając głęboko odpędzić majaki, walcząc przy tym z nieodpartą potrzebą snu. Starał się sam siebie zdenerwować. Przeklinał się w żywe kamienie, wyśmiewał z siebie, naigrawał, wykrzykiwał obelżywe propozycje pod adresem otaczających go kręgiem maszkar.

A potem szedł dalej. I wydawało mu się, że w ślad za nim idzie słoń. Wielki biały słoń z gietką trąbą i kłapciatymi uszami. Słoń tupał po piasku i doganiał Pawłysza. Był tworem chorej wyobraźni. Maskary były tworamii chorej wyobraźni. Płomyczek też był tworem chorej wyobraźni. Tak naprawdę to nie było niczego, tylko piasek i woda. Woda była zielona i dobra. Tak miękko się na niej leży! Zaniesie Pawłysza z powrotem na statek, położy przy włazie, a Gleb Bauer, obudziwszy się z anabiotycznego snu weźmie go na ręce, odniesie do kajuty i powie: Zuch z ciebie. Sława! Bardzo daleko doszedłeś!

Potem się rozjaśniło. Szare niebo. Szorstki piasek. Skały nawisie nad wąskim pasemkiem

plaży, zasłaniające światelko. I w tym momencie, walcząc z bólem i błogosławiąc go za to, że go cuci, Pawłysz oparł się o skałę, wyjął tubkę z sokiem, dopił ją. Mdlilo go jeszcze bardziej, ale w głowie przejaśniało. Pospieszył dalej, bojąc się, że znowu straci przytomność, zwariuje.

Ale słoń ciągle szedł za nim i szedł. Słyszał jego ciężkie kroki. Wydawało się, że piasek pod nim drży i ugina się.

Niepokoilo zniknięcie płomyczka. A nuż go ominie? Nie miał jednak siły, żeby wdrapać się na skały. Nie mógł sobie uzmysłowić, ile czasu minęło od momentu, kiedy wszedł na cypel.

A słoń jest już całkiem blisko. Chucha w kark. Wystarczy, że Pawłysz obróci głowę, a widziadło zniknie, ale w żaden sposób nie potrafił się do tego zmusić. Był wykończony nie tylko fizycznie. Wszystko odmawiało posłuszeństwa – i rozum, i odczucia. Mózg stracił zdolność wchłaniania nowych wrażeń, reagowania na nie strachem czy ciekawością. I czy idący za Pawłyszem słoń był naprawdę słońciem, czy płodem wyobraźni – to już było zupełnie wszystko jedno.

Ale mimo to obejrzał się. Miał nadzieję, że niczego oprócz maszkar tam nie ma.

Słoń był. Nie słoń, żaden tam słoń. Amorficzny ogrom w całkowicie niezrozumiały sposób chybotał się za człowiekiem, dopasowując swoje ruchy do jego szybkości, pochylając się nawet w jedną stronę, jakby naśladował wleczenie za sobą zranionej nogi. Nie miał ani uszu, ani trąby. Tylko w najbardziej nieoczekiwanych miejscach wyskakiwały mu jasne wyrostki podobne do macek.

Pawłysz włączył latarkę. I wtedy opanowała go wściekłość, którą przedtem usiłował w sobie bez większego powodzenia wyzwoić. Przecież już parę kroków, niewiele metrów zostało do celu – do płonącego światelka! Tak nie wolno! To ze strony planety jest nieuczciwe, po prostu nieuczciwe! To zwykle świństwo!

Ogrom nie odchodził. Tylko w tym miejscu, gdzie promień latarki dotykał jego powłoki, tworzył się lejek, jakby światło fizycznie na tę powłokę naciskało. Przesunął promień latarki po ciele ogromu i ten z nieoczekiwaną lekkością rozdzielił się na dwie części. Przypominał teraz klepsydrę.

Człowiek wyciągnął miotacz promieni, nacisnął spust, ale promień był tylko cieniutkim pasemkiem, słabym i bezsilnym. Nawet nie dosięgnął fosforyzującego monstrum. Pawłysz wyrzucił miotacz. Był ciężki, odgniatł rękę. Był też całkowicie nieprzydatny.

Pawłysz i ogrom stanęli przed sobą. Pawłysz wyłączył latarkę. Ogrom zrosł się znowu i stał się pozbawionym formy worem wielkości piętrowego domu. Jakaś nieostrożna maskara zbliżyła się do niego. Z powłoki wysunęła się macka, złapała ją i wsunęła w głąb ciała. I już nie było maskary...

– Do diabła! – powiedział Pawłysz i ogrom zakołysał się, usłyszawszy głos. – A ja i tak dojdę!

I odwrócił się do ogromu plecami, bo i cóż innego mógł zrobić? I poszedł. Deszcz bardzo głośno stukał w hełm. Dzwoniło w uszach. Ale trzeba było iść.

Ogrom następował mu na pięty. Czuł to, ale nie odwracał się. Skały rozstały się. Koniec cypla. Najwyższa ze skał stała na samym końcu przyładka. I to na niej płonął ogieniek – oślepiająco jasna latarka, umocowana na słupie. Słup miał pięć metrów i kończył się małą platformą. Na platformie, oprócz latarni, stał czarny sześcian. Miał może ze dwa metry i znajdowało się w nim urządzenie zasilające latarnię.

Nie było ani domku z otwartymi okiennicami, ani jaskini, w której płonął ogień, ani nawet działającego wulkanu. Była tylko automatyczna latarnia morska, ustawiona tu przez kogoś, kto mieszka daleko i prawdopodobnie nie kwapi się do wizyt na tej planecie.

Wyprawa straciła sens. Pawłysz wczołgał się na skałę, która dzięki Bogu miała z jednej strony łagodny spadek. Ten ostatni odcinek drogi całkowicie pozbawił go sił. Nie miał ich już skąd brać. Człowiek może pokonać wszelkie przeciwności losu, jeżeli ma przed sobą cel. Jeżeli go nie ma...

Ogrom także wspinał się po skale, trochę zresztą szybciej niż Pawłysz. J kiedy ten wreszcie dotarł do gładkiego, błyszczącego wilgocią słupa, ogrom wysunął mackę i dotknął nią nogi .Pawłysza. Bolącej, zdrewniałej nogi. Okropny ból zmuszał do krzyku. Jadowita macka musnęła ranę.

Wyszarpnął nogę, przyłgnął do słupa i złapał ręką za poprzeczkę. Takie poprzeczki sterczały po dwóch stronach słupa – były drabinką, po której wspinał się opiekun latarni. Człowiekiem kierował już tylko instynkt samozachowawczy. Świadomość wyłączyła się, błysnęła jedna tylko myśl:

żeby przybył ten, kto pilnuje latarni. Potem była już tylko ciemność i eksplozja potwornego bólu, to następna macka sunęła po nodze. Przytomność wróciła mu dopiero na platformie u szczytu słupa. W jaki sposób się tam dostał – ranny i pozbawiony sił – tego w żaden sposób Pawłysz nie potrafił pojąć. Spojrzał w dół. Ogrom otulił siup i powoli pełzł do góry. Pawłysz wyciągnął nóż, przejechał nim po pierwszej macce, jaka dostała się na platformę. Macka znikła, ale na jej miejsce pojawiła się nowa. Pomagał sobie światłem latarki, które pozbawiało macki zdolności ruchu, ale było ich tak wiele, że już ze wszystkich stron wlażyły na maleńką platformę, chwiejąc się nad jej brzegiem jak płatki gigantycznej chryzantemy...

Podszedł do czarnego sześcianu zasilacza, zobaczył zamknięty właz i na oślepie zaczął szukać dźwigni, guzika czy czegoś takiego. Nie miał odwagi odwrócić się do sześcianu twarzą, trzeba było bowiem odcinać nożem uparte „płatki”, zatrzymywać je światłem. A płatki, wyginając się, pełzły do środka, do nóg Pawłysza. Nagle właz się otworzył. Wpadając do wnętrza Pawłysz stracił przytomność.

Otworzył oczy. Jasno płonęło światło. Leżał w niewygodnej pozycji, opierając się głową

o twardą ścianę pomieszczenia. Podparł się łokciem, podniósł. W otwartym włazie błyszczały krople deszczu, oświetlone promieniami latarni. Krople odrobinę drżały, jak wszystko, na co patrzy się przez pole siłowe.

Usiadł. Głowa bolała go tak, że miał ochotę odkręcić ją, odłożyć na bok i pożyć choć trochę bez głowy. Nogi już nie było. Tak to przynajmniej Pawłysz czuł. Sześcian, czarny na zewnątrz, w środku był biały i jasny, i dlatego wewnątrz wydawało się przestronne. Pod ścianami ciągnął się pulpit. Wisiała nad nim pocztówka, zwykła stereopocztówka, jaką ludzie przesyłają sobie na Nowy Rok: brzozowy zagajnik, słoneczne błyski na liściach, miękka trawa i obłoczki na bardzo niebieskim niebie. Kosmonauci w pewnej odległości od Ziemi robią się sentymentalni. I jeżeli gdzieś po drodze, na Saturnie czy Marsie, złapie ich poczta, przechowują stereopocztówki i przypinają je pinezkami na ścianach kabin.

Wszystko pozostałe było proste i jasne: pulpit łączności, zapasowy skafander na wypadek, gdyby jakiś kosmonauta w potrzebie dotarł do automatycznej latarni, pozostawionej przez zwiadowców na bezludnej planecie, szafka z lekarstwami, pojemniki z wodą i jedzeniem, broń, przenośny zasilacz.

Kiedyś na Ziemi był taki zwyczaj. Myśliwi w tajdze, opuszczając ukryty w leśnej głuszy szałas, pozostawiali w nim zapasy soli, zapalki, naboje – wszystko, co mogło się przydać błądzącemu w lesie wędrowcowi. I kosmiczne latarnie też z przyzwyczajenia nazywano szałasami.

Szumiały przyrządy, dostarczając bez przerwy informacji o temperaturze powietrza, wilgotności, ruchach tektonicznych planety. Szałas czekał na człowieka. Ochraniał go polem siłowym przed prześladowcami i nawet uchylił właz, ponieważ potrafił odróżnić człowieka od każdej innej istoty.

Najpierw Pawłysz otworzył apteczkę, odszukał środki antyseptyczne i tabletki przeciwbólowe. Zdjął skafander. Pokiwał z ubolewaniem głową, zobaczywszy, czym stała się jego własna noga. Żałował, że w szałasie nie ma kamery, żeby móc uwiecznić siny pniak, w jaki zamieniła się noga lekarza pokładowego, Pawłysza. Stracił nieco czasu, starając się doprowadzić swój organizm do jakiegoś takiego porządku.

Pokuśtykał potem do pulpitu łączności, włączył radiostację i kosmicznymi kanałami nadał sygnał SOS. Poza kolejnością. I wiedział, słyszał jak w Galaktyce zamiera łączność, jak przerywają pracę stacje radiowe planet i statków, jak radiotelegrafści wsłuchują się w dalekie sygnały, jak w centrum kosmicznym zapalają się lampki alarmowe i obracają anteny, dostrajając się do szałasu numer taki a taki, i zupełnie Pawłyszowi nie znany statek, znajdujący się w sektorze 12, otrzymuje rozkaz natychmiastowej zmiany kursu...

Potwierdzenie nawiązania łączności przyszło bardzo szybko. Powiedziano mu nawet, jak nazywa się statek, spieszący na ratunek – „Segeża”. Na miejscu będzie za tydzień albo nieco

wcześniej.

Potem Pawłysz spał. Spał sześć godzin i obudziło go Wrażenie, że czegoś nie dopilnował, nie zrobił, że trzeba coś przedsięwziąć, gdzieś się spieszyć... Zrozumiał, że dalej odpoczywać w tym wygodnym, przytulnym wnętrzu nie należy. Po prostu nie wypada. Zwłaszcza że ból nogi prawie przeszedł (choć jeszcze trochę dokucza), a w kieszeniach nowego skafandra schowane są aż trzy miotacze.

I kosmonauta powiadomił Centrum, że wraca na statek. Centrum odpowiedziało: „Zgoda!”, bo skąd mogli tam wiedzieć, że do statku jest dziesięć kilometrów piechotą. A przy tym co to jest dziesięć kilometrów dla dyspozytora Centrum, gdzie odległości mierzy się tylko w parsekach?

Zszedł po drabince. Było całkiem ciemno. Maszkary tłukły się jak ćmy o szybki latarni...

Z obrzydzeniem pomyślał, że trzeba będzie wleźć do wody, kiedy będzie omijał zdradziecką rzeczkę. Pomyślał, że „słoń” może się teraz pojawić nie sam, ale z kolegami. W sumie to były jednak drobiazgi. W każdym razie „Segeża” za tydzień albo wcześniej wyląduje na brzegu.

Kulejąc lekko szedł po sybkim piasku tuż nad zieloną wodą. Fale przynosiły na grzbietach fosforyzującą pianę i starały się dosięgnąć ciężkich buciorów człowieka. Padał drobny deszczyk, niosący majaki o lasach, łąkach i dzikich, pachnących kwiatkach.

Ucieczka Kolec dotarł w końcu do niewielkiej platformy, oparł włócznie o skałę, przykucnął. Był zmęczony. Jeżeli wojownicy Starszego zauważyli, że wyszedł ze wsi, na pewno są już w tej chwili na jego tropie.

Z platformy nie widać było pieczar ani doliny pełnej kwiatów. Morena lodowca była pusta i tylko dwie muchy szamotały się nad kamieniami, walcząc o jakieś żyjątko. W ich skrzydłach odbijał się błękit lodu. Jeżeli pogoń jest blisko, to musi przedostać się przez morenę. Innej drogi nie ma. Wojownicy będą ostrożni – doskonale wiedzą, jak świetnie Kolec radzi sobie z procą.

Słońce roztopiło już szron pokrywający skały. Szare chmury odpływały gdzieś za Góry Błękitne. Wąskie liście kolczastych krzewów otwierały się do słońca. Tam, w cieniu, kryje się Biała Śmierć strzegąca doliny. Przez zarośla przejść się nie da. Nikt nie wie, gdzie jest żółta strzała narysowana na skale. Obcy opowiadał o niej przed śmiercią.

Obcy wiedział, że rano przyjdą po niego wojownicy Starszego, żeby oddać go pod sąd bogów. Złamał prawo, próbując wydostać się z doliny i pójść nad morze, gdzie pasą się stada długonogów i wałęsają dzicy ludzie. Morze to bezkresna zielona woda. Obcy zataczał rękami krąg, żeby pokazać, jak ogromne jest morze. Do samej śmierci nie nauczył się dobrze mówić i pomagał sobie rękami. Tylko Struga i Kolec potrafili się z nim dogadać. Zawsze chciał uciec z doliny i Starszy już raz próbował go zabić, ale bogowie nie zgodzili się, nie dali znaku. Kiedy znaleziono Obcego, poharatanego przez Białą Śmierć, na Polanie Kwiatowej, Starszy udał się do świątyni. Była noc i Obcy zdążył opowiedzieć Kolcowi o żółtej strzale na skalach. A rano Starszy wrócił ze świątyni, gdzie modlił się całą noc i powiedział, że bogowie wezmą Obcego do

siebie. Obcy nie mógł iść. Wojownicy ponieśli go do świątyni, położyli na ołtarzu, zerwali szmaty z ran, odrąbali ręce i nogi... Potem odrąbali głowę... Obcy umarł.

Biała Śmierć strzegła wyjścia z doliny. Myśliwi, którzy przed zmrokiem zdążyli przyjść do wsi, rzadko wracali do domów. Nocą Biała Śmierć podchodziła do samej wsi i tratowała uprawne pola. Starszy mówił, że pilnuje ona wszystkich przed muchami i długonogami. Nie trzeba nocą wychodzić z jaskiń i szałasów.

Kolec poczekał do świtu i uciekł, kiedy niebo było już szare i Biała Śmierć wracała w zarośla, na swe leże koło Kwiatowej Polany. Jeżeli Kolec znajdzie złotą strzałę i wejdzie na skały, to wydostanie się z doliny. Tam jest kraj dzikich. I morze...

Pogoni nie było widać. Wziął włócznię i zaczął schodzić po zboczu, porośniętym rzadko drzewami. Igły drzew oplatanie były kłębkami różowej pajęczyny. Nici pajęczyny ciągnęły za sobą wielołapki, przykrywały nią kwiaty i, nie bojąc się much, wysysały sok. Ze zbocza zarośla, w których kryła się Biała Śmierć, wydawały się równe jak bagno. Kiedy nadlatywał wiatr, krzaki przebiegało srebrzyste drżenie – liście chwiały się i szeleściły. Krzaki kryły tajemnicę. Tylko duże muchy i zwierzęta żyjące w cieniu znały drogę przez zarośla. Myśliwi opowiadali, że dawniej mieszkańcy wsi podpalali krzewy i senne, przestraszone maskary wyskakiwały na światło dzienne. Wtedy było dużo mięsa. Ale od czasu, jak w zaroślach pojawiła się Biała Śmierć, myśliwi obchodzili je z daleka.

Kolec był jeszcze młody i myśliwi nie zabierali go z sobą. Przekopywał gałęzią ziemię, w którą kobiety rzucały ziarno. Tak rozkazali bogowie. Po zimie Kolec stanie się prawdziwym mężczyzną. Wtedy być może bogowie zgodzą się, żeby został myśliwym, a Starszy wybierze mu żonę. Kolec najlepiej ze wszystkich umiał miotać kamienie z procy. Z odległości dwudziestu kroków trafiał włócznią w skórę długonoga. To była stara skóra. Długonogi rzadko przychodziły do doliny. Starszy powiedział, że jeżeli bogowie zdecydują, że Kolec zostanie myśliwym, to wybierze mu dobrą żonę. Może nawet swoją córkę? To było wielkie wyróżnienie, ale Kolec nie chciał żenić się z Chmurą. Chciał zobaczyć morze, o którym mówił Obcy, morze wielkie jak niebo, zielone i głębokie.

Muchy, zauważywszy Kolca, nadleciały znad piargu i zaczęły wirować nad głową człowieka. Kolec rzucił w nie kamieniem. Wojownicy Starszego dobrze wiedzieli, że muchy przylatują do ludzi.

Zaraz trzeba będzie skręcić do Mokrej Skały. Kolec stanął i zaczął nasłuchiwać. Gdzieś z tyłu przyturlał się kamień. Ktoś szedł po jego śladach. Kolec rzucił się w cień drzew, a wielołapki, płacząc swe pajęczynowe woreczki, uciekały w głąb krzewów. Włożył do procy okrągły kamień i czekał. Zza skały wyszła dziewczyna i stanęła, pełna niepewności. Mimo że Kolec patrzył na nią •pod słońce, od razu domyślił się, że to Struga. Opuścił rękę.

– Kolec! – zawołała Struga. – Jesteś tu?

Kolec jeszcze głębiej skrył się w cień i zaczął wachać: czuł tylko jeden zapach. Za dziewczyną nikt nie szedł. Poczekał więc, aż Struga zrówna się z drzewami, skoczył na nią z tyłu i schwycił za włosy. Struga wila się w jego rękach, gryzła i drapała. Trzymał ją mocno, śmiał się i powtarzał:

– Ładnie to tak chodzić po dolinie? Głupia jesteś, jakiś zwierz cię zje!

– Wiedziałam, że tu jesteś – powiedziała, wyswobodziwszy się z jego rąk. – Szłam po twoich śladach. Tu oprócz nas nikogo nie ma.

– Zostawiłem ślady?

– Do strumienia. Potem szedłeś po dnie aż do Stromej Skały. Ale wiedziałam, dokąd idziesz. Idziesz do przełęczy. Znalazłam twój ślad w Kwiatowej Dolinie. Nie bój się. Słońce jest już wysoka i nasze ślady zatrze wiatr.

– Po co przyszedłeś? – zapytał Kolec, oparłszy się o pień drzewa. Wielołapki przebiegały po jego nagiej piersi, taszcząc ze sobą woreczki z nektarem.

Struga wyciągnęła rękę, zebrała garść wielołapek i otwierała torebki ze słodkim płynem. Jadła sama i częstowała Kolca.

– Zapytałam matki – powiedziała. – Jeszcze spałeś. Pytałam, czy będziesz pracował w polu. Powiedziała, że rano idziesz do strumienia po ryby. Okłamałeś matkę, ale ja się domyśliłam. Weź mnie ze sobą.

– Nie – odpowiedział Kolec. – Tam jest Biała Śmierć.

– A ja i tak ucieknę ze wsi! Starszy powiedział, że po tej nocy da mnie za żonę Skale. Skała ma już trzy żony. Jest okropny.

– To wielki myśliwy – powiedział Kolec.

– Nie chcę być żoną Skały! Zamilkli. Po chwili Struga poprosiła:

– Weź mnie ze sobą!

– Idę drogą Obcego. Tędy jeszcze nikt nie szedł.

– Obcy był moim ojcem.

– Jesteś kobietą. Jesteś słaba. Nie umiesz rzucać włócznią – Będę twoją żoną.

Kolec nie odezwał się. Chciał, żeby Struga była jego żoną, ale Starszy powiedział: nie wolno! Obcy owdowiał i ożenił się z matką Kolca, kiedy jej mąż nie wrócił z polowania. I chociaż Struga i Kolec mieli inne matki i innych ojców, uważano ich za rodzeństwo. Starszy powiedział, że odda Strugę Skale. Kolec był zły na Starszego, ale nic nie mówił. Myśliwemu nie wolno sprzeciwiać się woli bogów.

– Nie boisz się bogów? – zapytał Kolec.

– Przecież uciekniemy z doliny. Za przełęczą są inni bogowie. Tak mówił ojciec.

– Jeżeli porwie mnie Biała Śmierć, Starszy każe cię zabić. – A ja się nie boję! Jestem córką Obcego! – Struga usiadła na ziemi, wyciągnęła nogi.

– Cały czas biegłam za tobą – powiedziała. – I wreszcie cię znalazłam. Mogę być myśliwym. Kolec roześmiał się.

– Kobiety rzucają ziarno w ziemię i gotują mięso. Myśliwi to mężczyźni.

– Ty sam kopiesz ziemię! – odparowała Struga. Pogładziła jego nogę. Włosy dziewczyny, ostrzyżone w świątyni w dzień pełnoletności, odrosły już i kędzierzawiły się nad uszami.

– Chciałbym, żebyś była moją żoną – odezwał się Kolec. – Ale nie wolno łamać rozkazu bogów.

– Złamałeś rozkazy, kiedy poszedłeś do przełęczy.

– Poczekaj – powiedział Kolec, podciągnął się na gałęzi, wskoczył na nią, żeby popatrzeć z góry na ścieżkę. – Mówisz za głośno. Wojownicy mogą usłyszeć.

– Jeszcze śpią. Drzwi od ich domu były zamknięte.

– Starszy wszystko słyszy. Nie śpi nigdy. Pamiętasz, jak ukradliśmy nogę podziemnego zwierzęcia i schowaliśmy ją w maleńkiej jaskini? Nikt nas wtedy nie widział.

– Tłusty Żuk nas widział. To on opowiedział Starszemu.

– Nie, Tłusty Żuk nie wiedział, gdzie jest nasza jaskinia. A on przyszedł właśnie tam.

– A potem – zaśmiała się Struga – prowadził nas po wsi, zatrzymywał się przy każdym domu, wołał wszystkich na ulicę i mówił: „Te dzieci ukradły mięso!”

– „Ukradły mięso, którego jest tak mało!”

– Aha!

– Słusznie! „Ukradły mięso, którego jest tak mało!” I bił was kijem. Ale nie płakałaś.

– Nie płakałam. A on powiedział, że teraz nie zobaczymy mięsa aż do lata. Tak rozkazali bogowie. I będziemy pracować w polu od rana do nocy. A ja tak bardzo chciałam mięsa!

– Ale ojciec dawał nam mięso. Zapomniałaś? Dawał nam to, co sam dostawał. Mówił, że nie chce, żebyśmy umarli z głodu.

– Nie mówił, tylko pokazywał rękami, jak będziemy umierać.

– Ojciec był dobry.

Struga wstała, podniosła z ziemi włócznię Kolca i zapytała:

– Idziemy do przełęczy? A może zapomniałaś?

Kolec zeskoczył z gałęzi. Obrząził się. Struga nie powinna była przypominać mężczyźnie, co do niego należy. Ale miała rację. Co za sens siedzieć na drzewie i machać nogami? W ten sposób można się tylko doczekać nieszczęścia.

Ranek kończył się. Cienie były krótsze, wiatr ucichł. Nad ciemną ścianą krzaków unosiła się para, to rośliny oddawały wodę, zmagazynowaną na długą noc. Zapach ziemi, zwierząt i roślin wzmógł się; rozliczne, pozostawione przez zwierzęta i ludzi ślady ginęły w oparach nad doliną. Najlepsza pora na polowanie – od świtu do upału – minęła. Kolec pociągnął Strugę za włosy:

– Bądź posłuszna, żono!

Wymówił słowa, które mógł powiedzieć tylko Starszy...

– Puść, boli! – roześmiała się Struga.

Szli wzdłuż zarośli, ale ani razu nie weszli w ich cień. Kolec wystraszył czerwonego węża, cisnął w niego kamieniem z procy, wąż pisnął, zakręcił się w trawie i rozpadł na dziesiątek wężyków. Między zaroślami a skałą ciągnęło się wąskie, długie na jakieś sto kroków przejście. Ale Kolec parł do przodu. Tak radził Obcy. Struga szła za nim – czuł na karku jej oddech. Czasami wyciągała rękę i dotykała jego pleców. Odtrącał jej dłoń – bał się tak samo jak dziewczyna. Jeżeli nagle z krzaków ktoś wyskoczy, nie będzie gdzie uciekać. Trzy kroki – i skała...

Potem zostały dwa kroki. Potem nastąpiła chwila, kiedy można było rozłożyć ręce i dotknąć prawą ręką krzaków, a lewą chłodnej, mokrej skały. Po skale ciekła woda i jej zimne krople padały na skórę. Tu było zimniej niż pod drzewami. Kolec zamarł. Parę kroków przed nim krzewy sięgały aż do skał.

– To tu – powiedział cicho.

– Tu nie ma drogi – zauważyła Struga. – Nie pomyliłeś się?

– Obcy powiedział: „Tam gdzie krzaki i skała będą razem, biegnij naprzód!”

– Tędy jeszcze nikt nie chodził.

– Chodził twój ojciec. Był wielkim myśliwym.

Kolec wetknął włócznię w zarośla. Gałązki cofnęły się, jakby były żywe, i skuliły igły. Rozsunął je i ruszył do przodu. Struga trzymała go za przepaskę na biodrach. Kolec odgarniał włócznią gałęzie i przeciskał się między nimi do skały. Gałęzie szeleściły, było ciemno. Nagle coś zaszeleściło.

Struga krzyknęła przerażona. Kolec rzucił się do przodu, gałęzie chwyciły go haczykami igieł, zaniepokojeni mieszkańcy ciemności piszczeeli, warczeli i posykiwali.

Kolec biegł zmrużywszy oczy, i nie on, ale Struga pierwsza zrozumiała, że już opuścili dolinę. Zarośla zrzędy i uciekinierzy znaleźli się w szerokiej rozpadlinie, której dno wyściełały drobne kamyczki, a skały po bokach, ciemne, pokryte porostami, tworzyły dach nad głowami zbiegów.

Kolec odetchnął. Struga zerwała pęk ziół i wycierała nim krew z twarzy i piersi. Poganiał ją.

– Jeżeli obudzimy Białą Śmierć, to łatwo nas tu dopadnie. Chodźmy do żółtej strzały.

– Boli mnie – poskarżyła się.

– To zostań tu. Albo wracaj. Idź do wsi.

– Nie mogę. Oddadzą mnie bogom.

Nie tracił czasu na rozmowy z dziewczyną. Szybko poszedł naprzód, nie spuszczać wzroku ze skały po lewej stronie. Na niej powinna być żółta strzała.

Struga pałętała mu się za plecami, pochłipywała i przeklinała towarzysza. Nagle za plecami

wędrowców rozległ się świst.

– Biała Śmierć – krzyknął Kolec. – Zbudziłem ją! Nie oglądaj się!

Mimo to Struga obejrzała się. Krzaki szeleściły, kołysały się zupełnie jakby chciały wypluć coś bardzo dużego. Między gałęziami błyskały jasne plamy i w żaden sposób nie można było określić wielkości i wyglądu Białej Śmierci.

Kolec pędził naprzód. Rozpadlina kończyła się, widać już było kawałek nieba i chmury. Skały rozstały się nagle i uciekinierzy znaleźli się na skraju urwiska. Urwisko stromo schodziło w dół, gdzie wśród zielonej łąki wiała się rzeka. Rzeka płynęła do morza, spowitego teraz gęstą mgłą.

Przeciągały świst i szczęk przybliżał się. Biała Śmierć dopędzała ich. Kolec odwrócił się i zobaczył, że Biała Śmierć nie miała oczu, paszczy ani nóg. Bezkształtna biała masa przewalała się z boku na bok jak ciasto, wystawiając krótkie macki i próbując dosięgnąć nimi zbiegów.

– Strzała! – wykrzyknął Kolec.

Niewielka żółta strzała skierowana skośnie w górę wskazywała na półkę skalną, wąską i prawie niewidoczną z dołu rozpadliny.

Kolec chwycił Strugę jak wiązkę drzewa i wrzucił ją na półkę. Dziewczyna przyłgnęła do kamienia, podciągnęła się i zniknęła za skałą. I stamtąd wyciągnęła rękę, żeby pomóc chłopakowi wspiąć się na gzymś. Kolec wsparł się na włóczni, palce bosych stóp wbił w szorstki kamień. Struga, nie opuszczając ręki, cofnęła się.

Jedna z białych macek pełzła po półce. Kolec dźgnął ją włócznią i natychmiast zniknęła.

Zbiegowie stali, przyłgnąwszy plecami do skały i milczeli. Gzymś stopniowo rozszerzał się i obniżał, prowadząc do rzeki. Nadlatujący znad morza wiatr miękko owiewał twarze, jakby bał się, że osłabieni wędrownikami i straszliwym spotkaniem zemdleją i spadną w dół.

Przeszli kawałek po półce, przysiedli w miejscu, gdzie się rozszerzała.

Mgła rozpraszała się i teraz niebo, które widziane z góry wydawało się takie ogromne, miało już granice. Rzeka wlewała się do nieba, rozdzielona na wiele strumyczków.

– Morze – powiedział Kolec. – Obcy mówił, że morze to siostra nieba. Teraz już nikt nas nie dogoni.

Półka prowadziła w dół, do doliny rzeki, gdzie rosły różowe, słodko pachnące drzewa. Stado długonogów pasło się pod jednym z nich. Kolec nigdy nie widział tylu długonogów razem.

– Mięso – powiedział. – Dużo mięsa.

Usłyszeli szczykanie Białej Śmierci. Potwór, rozpląszczywszy się na ścianie, sięgał już półki i powoli pełzł naprzód. Kolec chciał się rzucić na niego, ale Struga wczepiła mu się w rękę.

– Nie waż się! – krzyczała. – Uciekniemy! Białej Śmierci nie da się zabić! Kolec ustąpił.

– Biegnijmy!

Pognali w dół, łapiąc się za wystające kamienie, przeskakując szczeliny. Nie wiadomo skąd

przyplątały się ogromne muchy, zwabione zapachem ludzi. Wirowały nad głowami, przeszkadzały w biegu. Biała Śmierć została w tyle. Przelewała się po gzymsie, wciąż zmieniając formę. Wspiwała się powoli, ale uparcie. Przecież wiedziała, że ludziom nigdy nie udaje się przed nią uciec.

Półka zamieniła się teraz w piarg. Między występami skał rosły krzaczki i żółte fosforyzujące kwiaty. Długonogi spostrzegły ludzi i rzuciły się na przelaj do ucieczki, podnosząc wysoko tłuste zady. Z piargu widać było skałę, z której zesli. Ciągnęła się od morza do Niebieskich Gór i rozpadlina, z której wyszli Kolec i Struga, wydawała się z tej odległości czarną szparką,

jakby ktoś wbił w skałę ostry topór. Na środku skały widać było czarną plamę.

– Dojdziemy do rzeki – powiedział Kolec – i wejdziemy do wody. Biała Śmierć nie umie pływać.

– Skąd wiesz?

– Tak mówił Obcy. Kiedy jeszcze był w tamtym plemienu, myśliwi ratowali się przed nocnymi zwierzętami wchodząc do wody. Potem znajdziemy to miejsce, w którym można przejść przez rzekę. Obcy mówił, że jest takie miejsce.

– Nie umiem pływać – powiedziała Struga.

– Ja też nie umiem. W naszym plemienu nikt nie umie pływać. Ale uciekliśmy i nikt nas nie złapał. Nawet Biała Śmierć. Jestem prawdziwym myśliwym. Będziesz moją żoną, a potem z nowym plemiem wrócę do wsi i zabiję Starszego.

– Jesteś prawdziwym myśliwym – zgodziła się Struga. – Ale chodźmy szybciej do wody. Patrz, Biała Śmierć jest tuż, tuż!

Biała Śmierć dotarłszy do szerszego miejsca półki pełzła energicznie naprzód. Z urwiska stoczyła się jak wielka kula, wysuwając przed siebie – żeby nie spaść – krótkie, grube macki.

Ale uciekinierzy przeszli tylko kilka kroków. Musieli stanąć. Dołem szli ludzie.

– To myśliwi – powiedział Kolec. – Chodźmy do nich. To myśliwi z plemienia Obcego. Nic nam nie zrobią.

– Stój! – zatrzymała go Struga. – Połóż się w trawie, dopóki nas nie zauważyli. Widzisz, jakie mają włócznie?

Kolec padł w trawę i ostrożnie wyjrzał zza kamienia. Ludzie, idący wzdłuż rzeki, mieli włócznie rozdwojone na końcach, żeby móc szarpać mięso i żeby rana była głęboka i śmiertelna. Taką włócznią trudno zabić zwierzę. Nawet długonóg może przed nią uciec. Taką włócznią poluje się tylko na ludzi. To byli wojownicy Starszego...

Kolec w rozpaczy rzucił się na ziemię. Gryzł palce, walił po kamieniach pięściami. Wściekłość i strach odebrały mu rozum.

– To duchy! – krzyczał. – To duchy wojowników! Przecież nie mogli wyjść z doliny!

– Cicho! – błagała go Struga. – Cicho, bo usłyszą! Ale Kolec już się poderwał i rzucił w stronę wojowników. Ogarnęło go szaleństwo, jakie opanowuje każdego mężczyznę plemienia, gdy czuje zbliżającą się śmierć.

Struga próbowała go zatrzymać. Potykając się, biegła za Kolcem, krzyczała, płakała... A z tyłu, wciąż bliżej i bliżej, słychać było pomlaskiwanie Białej Śmierci.

Wojownicy już dostrzegli młodzieńca i, utworzywszy półkole, czekali, kiedy się zbliży, żeby móc uderzyć pewnie i skutecznie. Struga zobaczyła, że trzymają sieć, uplecioną z błękitnej trzciny i zrozumiała, że chcąc wziąć Kolca żywcem, żeby go przynieść bogom na ofiarę, tak jak zrobili z jej ojcem.

Nie zauważyła, kiedy znalazła się w cieniu. Dopiero palące dotknięcie macki Białej Śmierci zmusiło ją do krzyku. Skoczyła do przodu...

Biegający młodzieniec usłyszał jej krzyk i przystanął. Od myśliwych dzieliło go kilkadziesiąt kroków. Zobaczył, że Struga pędzi w jego stronę, a biały ogrom następuje jej na pięty. Macki prawie dotykały pleców dziewczyny.

I nagle z Kolcem stało się coś dziwnego. Szaleństwo opuściło jego umysł. W głowie przejaśniło się, poczuł przypływ siły. Rzucił się ku Strudze, wzdłuż łańcucha wojowników, tak żeby go ominąć. Udało się! Chwyił dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą. Zaskoczeni wojownicy zamarli, a Biała Śmierć nie zdążyła zmienić kierunku i potoczyła się do przodu.

Ludzie Starszego zrozumieli, że ofiara może im umknąć, i pospieszyli za Kolcem, trzymając się blisko brzegu, żeby nie wpaść na Białą Śmierć. Monstrum wyciągnęło macki i poturlało się za uciekającymi. W końcu któryś z prześladowców dopadłby dziewczynę i chłopca.

Szybsza okazała się Biała Śmierć. Dagoniła zbiegów przy niewielkim stromym wzgórku, na który Kolec wciągnął osłabłą towarzyszkę. Biała kula rozplynęła się po trawie i otoczyła wzgórek. Groźna ciecz powoli wpełzała na wzniesienie i wojownicy zatrzymali się, obserwując, jak plama zieleni pod nogami uciekinierów maleje, jak rozpaczliwie Kolec dźga włócznią białe macki.

Nagle zza dużego drzewa wyszedł jeszcze jeden świadek tej sceny. Nie należał do żadnego plemienia. Był wyższy i szczuplejszy od wszystkich ludzi. Miał wielką błyszczącą głowę, błoniastą trąbę, garb na plecach i był bardzo dziwnie ubrany. Podniósł rękę z krótką błyszczącą pałką, z pałki bluznęła oślepiająca struga, dosięgła białego pierścienia i pierścień zaczął czernieć, kurczyć się, chowając macki, ten człowiek czy bóg tak długo palił Białą Śmierć, aż jej resztki, zwęglone i martwe, opadły ze wzgórka i rozsypały się w popiół u jego podnóża.

Wtedy Kolec puścił Strugę, która osunęła się na trawę, a sam ukląkł i zakrył oczy rękami.

Gość Cisza prześladowała go aż do samego statku. Wydawało się, że z nastaniem nocy wszystkie maskary ukryły się w norach, albo zapadły w ciężki sen. A może dotarły do nich słuchy, że taki jeden człowiek na brzegu czuje się silny, bezpieczny i niezwyciężony? Wszystko

to nie tylko dzięki nowemu skafandrowi, w którym nie groził niedostatek tlenu i wobec którego bezsilne były szpony mieszkańców morza, ale i dzięki temu, że miał świadomość zwycięstwa. Niedawna wyprawa do światelka stała się czymś w rodzaju bólu zęba, który się przeżyło, można go sobie jeszcze wyobrazić, ale odtworzyć go już się, dzięki Bogu, nie da.

Nie ustępował jednak niepokój o losy statku. Rósł z każdym krokiem, z każdą sekundą. Wyobraźnia malowała obraz nieznanego potwora, który spokojnie rozbiera barykadę, chałupniczymi metodami wzniesioną przez Pawłysza w luku „Kompasu”.

Cisza była złowieszcza. Niewysokie, leniwe fale pojawiały się nad czarną powierzchnią morza i rozpląwały fosforyzującą plamą na piasku. O długim dniu przypominał już tylko wąski zielony pas nad horyzontem, ale światło, pozwalające dostrzec pasmo plaży i ścianę krzewów na wydmach, nie było światłem dopalającego się zachodu, ale lśnieniem miedzianego księżyca, który podniósł się i zalał noc odblaskiem dalekiego pożaru.

Światelko zostało daleko w tyle. Migało pewnie i równomiernie. Napawało optymizmem. Optymizm ten obejmował też daleką przyszłość, która w żadnej mierze nie zależała od Pawłysza. Od niego tylko zależało bezpieczeństwo statku przez najbliższe dni. Gwiazdy odbijały się w kałużach, jakie pozostawił przypływ, i świetliste pasmo piany oddzielało piasek od morza. Szło się cudownie lekko. Gładki piasek skrzypiał pod stopami.

W końcu Pawłysz zobaczył „Kompas” rysujący się czarną plamą na gwiazdzistym niebie. Włączył latarkę hełmową na pełną moc i krążek światła odbił się od stalowego korpusu. Obszedł stertę nadwęglonych krzewów i spalonych maszkar – resztki swego nieudanego ogniska. Wydawało się, że to wszystko działo się strasznie dawno temu: i pierwsze błyski latarni, i rozpaczliwe wysiłki, mające zwrócić uwagę mieszkańców dalekiego szafasu.

Chałupnicza barykada stała na swoim miejscu.

W śluzie Pawłysz włączył oświetlenie awaryjne i aparaty tłoczące powietrze. Statek ratowniczy przybędzie za sześć dni i można sobie pozwolić na komfort życia w świetle i bez skafandra.

Zakręcił pokrywę włazu i przysłuchiwał się świstowi powietrza, które wesoło wdzierało się do przedziału, jakby już było znudzone zamknięciem w ciemnym zbiorniku. Można było zdjąć maskę. Zwykle zapachy, które zostają w statku długo po tym, jak opuści go ostatni człowiek, otaczały doktora, jakby ciesząc się z powrotu gospodarza.

Prysznic nie działał. Pawłysz zrzucił skafander i wyszedł na korytarz. Lampy świeciły połową mocy. Jeszcze przed miesiącem uważałby, że jest tu ciemno i nieprzytulnie, ale po długiej wędrówce przez mrok korytarz wydał się lekarzowi jasny i pełen wesołych światel, jak wypełniona odświętną publicznością sala teatru. Wszystko było w porządku. Zaraz otworzą się drzwi, wejdzie kapitan i zapyta: „Gdzie pan był tak długo, doktorze?”

Ale kapitan nie wyszedł. Był martwy. Pawłysz doszedł do końca korytarza i przed

zajrzeniem do komory anabiotycznej obejrzał się, chcąc przywołać przyjemne wrażenie, że nie jest sam.

Jakiś człowiek wyrzął zza rogu i, zauważywszy Pawłysza, schował się. Lekarz pokładowy przyjął zjawienie się człowieka jako dalszy ciąg zabawy w żywy statek. Ale już zadziałały wewnętrzne systemy ostrzegające: Pawłysz, jesteś na statku sam! Tu nie może być nikogo więcej. To halucynacja.

– To halucynacja! – powiedział głośno Pawłysz, chcąc w ten sposób rozwiać widzenie, unicestwić pamięć o nim. Zdecydował, że musi wziąć się w garść. W twarzy człowieka kryjącego się za rogiem było coś dziwnego. Nie należał do załogi statku: ani do żywych, ani do martwych. Nie przypominał też nikogo z ziemskich znajomych Pawłysza. Był obcy. Wysoki czy niski, kobieta czy mężczyzna, tego Pawłysz nie zdążył zauważyć. Ale był przekonany, że nigdy tego człowieka nie widział.

Halucynacja halucynacją, ale trzeba wszystko sprawdzić. Żałował, że zostawił miotacz promieni w kieszeni skafandra. Posuwał się po korytarzu powoli, gotów w każdej chwili przylgnąć do ściany albo ukryć się w którejś z kajut. Zrobiło mu się strasznie, może dlatego, że najgorsze było już poza nim, i nowe, tak nagle pojawiające się niebezpieczeństwo wpędziło go w panikę. Skradając się po korytarzu, Pawłysz złapał się na tym, że błaga przybysza, aby okazał się tworem wyobraźni.

Za rogiem nie było nikogo. Luk śluzy był zamknięty i lampa pod sufitem lekko mrugała, jakby nieco się z Pawłysza naigrawała. Jeżeli ktoś kryje się w pobliżu, powinien usłyszeć jego kroki, jego oddech. Cisza martwego statku była prawie nie do wytrzymania, taka ciężka i hucząca w uszach.

Postawszy z pięć minut, uwierzył, że jest na statku sam. Nerwy zawodziły. W końcu trzeba się o wszystkim dokładnie przekonać. Pawłysz wziął z szafki maskę, włożył na plecy butlę z tlenem i wszedł do śluzy. Tu także było pusto.

Otworzył luk. W ciemności słyszał szum morza. I tylko na wszelki wypadek włączył ręczną latarkę i powiódł światłem po piasku – nikogo tam nie było. Morze też było puste. Zaświecił w krzaki. Promień latarki wydobył z ciemności sylwetkę człowieka biegnącego po sypkim piasku. Sylwetka ta na moment zamarła, rzuciła się w bok, żeby uciec przed światłem i zniknęła w zaroślach. Krzaki nie przeszkodziły gościowi ukryć się w swej głębinie.

To znaczy, że nie była to halucynacja. Przybysz istniał, mieszkał na tej planecie.

Pawłysz jeszcze przez chwilę oświetlał miejsce, w którym zniknął człowiek, potem zgasił latarkę i wrócił na statek. Znow opanował go lęk. Nocny gość mógł dobrać się do komory anabiotycznej.

Rzucił się w korytarz, zapomniawszy zdjąć maskę i odłożyć na miejsce latarkę. Drzwi od przedziału anabiotycznego były zamknięte, ale mimo to uspokoił się dopiero wtedy, kiedy

zobaczył wskazania przyrządów. Pracowały normalnie. Rezerwowa załoga spała. Nocny gość nie dotarł tutaj...

Obszedł cały statek, zaglądał do przedziałów i ładowni, brodząc wśród rozbitej aparatury i poskręcanych przepierzeń. Wydało mu się nagle, że otworzył się luk ładowniczy, i stracił ze dwadzieścia minut, zanim się przekonał, że luk zablokowało tak dokładnie, iż bez pomocy lasera nie da się go otworzyć.

Ale mimo wszystko nie mógł się uspokoić. Wrócił do śluzy, włożył skafander, wziął miotacz i wyszedł na zewnątrz. Powoli przeszedł tę samą drogę, co nocny gość, starając się odtworzyć jego ślady. Wpatrując się w piasek doszedł do samych krzewów. Ale ani śladów, ani prześwietu w ścianie zarośli, w którym mógłby skryć się człowiek, nie odnalazł.

Nim położył się spać, zabarykadował włazy i wzmocnił światło. Odechciało mu się jeść. Długo nie mógł zasnąć, wsłuchując się w dźwięki dochodzące zza zamkniętych drzwi. Było zupełnie cicho. I tak usnął, trzymając pod poduszką rękę z miotaczem.

Ręka w nocy ścierpła i śniły mu się koszmary. Szedł i szedł po brzegu, tonął, a przed nim, oglądając się za siebie, szedł nocny gość, rozplywając się w czarnej pustce.

Przespał dwanaście godzin i obudził się całkiem rześki. W końcu to nic dziwnego, że na planecie żyją jej gospodarze. Być może chodzą jeszcze w skórach i nie budują miast. Dlatego zwiadowcy ich nie odnaleźli. Czy są istotami rozumnymi, czy mają dopiero takie ambicje? W każdym razie są ciekawi i trudno mieć o to do nich pretensje.

Leżał i przysłuchiwał się szmerom. Potem westchnął i sam sobie powiedział:

„Dzień dobry!” Pozostało jeszcze spędzić sześć dni w całkowitej samotności. Problem przeżycia, uratowania kolegów, perspektywa powolnej śmierci – wszystko to już było poza nim. A sześć dni to długo, i głupio byłoby spędzić ten czas leżąc do góry brzuchem na koi i po raz czwarty czytając piąty tom Kluczewskiego. Potem znajomi będą pytać: a coś ty, Sławka, robił, kiedy wróciłeś na statek? Mógłby niby odpowiedzieć, że spał. Znajomi uśmiechną się, nic oczywiście nie powiedzą, ale pomyślą: „Idiota. Trafić na nieznaną planetę i przespać sześć dni z rzędu. To do niego podobne”. Brr!

Jeżeli wierzyć przewodnikom, to za trzy ziemskie doby nastąpi ranek. Wtedy trzeba będzie iść po brzegu w odwrotną stronę niż radiolatarnia. Gdzieś tam powinno być przejście między krzewami i można będzie zajrzeć do środka, popatrzeć, gdzie i jak żyje nocny gość.

Doszedłszy do takiego wniosku, Pawłysz, żeby nie tracić czasu, wy dostał się na zewnątrz, wygrzebał z kupy drewna jako tako zachowane ciało latającej maskary i zawlókł je do laboratorium. Drzwi od komory anabiotycznej zamknął na głucho, tak że gdyby lekarz zaraził się jakąś miejscową chorobą, to żaden wirus nie przedostanie się do wanien. W laboratorium trzeba się było nieźle namęczyć, nim w kupie złomu udało się odnaleźć i skompletować jakieś instrumenty.

Od szkolnych czasów nie preparował Pawłysz zwierząt bez mikroskopu, w świetle mdłej, żółtej lampki, używając zamiast szkiełek przedmiotowych den od kolb i szklanek. Z rozkoszą przeklinając prymitywne warunki pracy wypreparował kilka maszkar. Miał co robić. Wyłowił z morza za pomocą światła latarki trzy drobne morskie stworki, znalazł w ładowni pojemnik ze spirytusem, przeniósł z kambuza rondle i patelnie, zamienił laboratorium w nader niechlujne muzeum osobliwości, dorobił się na dłoniach kilku odcisków i pęcherzy, i pod koniec trzeciego dnia był już pierwszym specjalistą od biologii planety. Co prawda, wyspecjalizował się w niższych formach życia, których budowa dawała podstawy do przypuszczenia, że ewolucja zaszła już tu całkiem daleko. Rano, przy świetle, będzie można poszerzać swoją wiedzę do upojenia...

Najbardziej interesujące niespodzianki kryły w sobie zarośla. Okazało się, że są to nie tylko rośliny, ale i zwierzęta. Wszystko to było rezultatem symbiozy roślin z prostymi żyjątkami zamieszkującymi źdźbła tych roślin. Organizmy te były czymś w rodzaju mrówek i to właśnie one zmuszały gałęzie do bronienia się przed próbami przeniknięcia do wnętrza krzewów obcych ciał. Całość stanowiła jeden spójny system.

Pawłysz długo próbował rozwiązać problem, jak zmusić krzaki, żeby rozstały się przed nim, ale trzeba się było z tą myślą pożegnać – na horyzoncie pojawił się jaśniejący pas. Zbliżał się świt. Trzeba było zacząć przygotowania do wielkiej operacji pod kryptonimem „Robinson udaje się na wyspę”.

Tym razem Pawłysz wykazał taką pomysłowość, że skreśliłoby z zazdrości neandertalczyka, wychodzącego z jaskini na trzymiesięczne polowanie i zostawiającego w owej jaskini – w sąsiedztwie bardzo, bardzo dzikich zwierząt – ukochaną żonę z dziećciem.

Kiedy wreszcie zamknął luk i przypomniał sobie, że nie wziął noża, to zwalczyć pozostawione przez siebie pułapki i zapory udało mu się dopiero po półgodzinie. I to tylko dlatego, że wpadł w czarną rozpacz i wystrzelił w ten cały majdan z miotacza. Potem oczywiście całą zabawę z zamykaniem luku musiał zaczynać od nowa. W rezultacie Pawłysz opuścił miejsce postoju statku, kiedy słońce stanęło już na granicy wody i piasku, przedzierając się przez strzępy obłoków. I znowu, jak wieczorem, trzeba było iść na spotkanie słońca, tyle że w przeciwnym kierunku.

Tym razem wyekwipował się starannie. Niestraszne mu były zwierzęta i przeciwności losu. Na plecach zwisały butle z zapasem powietrza na trzy doby. Przy boku miotacz, przy drugim myśliwski nóż przerobiony metodami chałupniczymi z noża kuchennego. Niósł nawet ze sobą nadmuchiwany śpiwór, bo a nuż przyjdzie przenocować w drodze?

Po jakichś trzech godzinach, kiedy słońce roztopiło szron na krzakach, kiedy wiatr szumiał wśród zarośli i obracał liście na srebrzystą stronę, Pawłysz zobaczył szeroką rzekę, która rozdzielona na wiele strumyków wlewała się w morze, przebijając przy tym ścianę krzewów.

Brzeg był błotnisty i elastycznie ugiął się pod nogami. Krótkie ostre źdźbła z błękitnymi wianuszkami kolców wczepiały się w buty, a z trawy pryskały w różnych kierunkach latające stworzonka. Z zarośli wyskoczyły przestraszone maskary, pokrażyły nad Pawłyszem i z powrotem ukryły się w krzakach. Brzeg zrobił się wyższy, bardziej suchy, krzewy rozstąpiły się i znalazł się na skraju szerokiej doliny.

Z jednej strony dolina była ograniczona morzem, z drugiej skalistym urwiskiem. Rzeka skręcała jakieś trzy kilometry od ujścia i płynęła w dół doliny, dzieląc ją na dwa długie, zielone pasma.

Doszedł do zakrętu rzeki. Prąd był tu szybszy, w czystej wodzie widać było niewielkie otoczaki i długie nici wodorostów. Krótkie pomarańczowe robaczki miały się jakby skacząc przez niewidzialne skakania, i przed wejściem do wody Pawłysz na wszelki wypadek rzucił w nią kamieniem, odganiając rozbawione robaczki od brodu.

Szybki prąd przeszkadzał iść, woda zbijała z nóg, szumiała i warczała... Dzienny świat planety bardzo się Pawłyszowi spodobał. Wielki ptak z długim giętkim ogonem zatoczył nad nim krąg, runął w dół i podniósł się z wody, trzymając w dziobie jakieś wodne zwierzątko.

W najgłębszym miejscu woda sięgała Pawłyszowi do pasa. Prąd omal nie zniósł go na głębinę, ale brzeg wyraźnie się tu wznosił i Pawłysz, otrząsając wodę ze skafandra, wy dostał się na trawę i podszedł do wielkiego, pokrytego różowym listowiem drzewa. Z bliska okazało się, że to nie liście, ale utkane z pajęczyny woreczki, które dźwigały przemieszczające się z gałęzi na gałąź gąsienice. Zobaczywszy Pawłysza gąsienice zaczęły go straszyć podnosząc głowy i szeleszcząc przednimi nóżkami.

Nie opodal pasło się stado dziwnie wyglądających zwierząt. Kilka par cienkich nóg niosło tłuste, podobne do bukłaków ciała. Zamiast głowy z bukłaków sterczały niewielkie trąby. Z wierzchu bukłaki były ozdobione ostrymi kolcami. Zwierzęta żwawo wyrwały trąbkami trawę i wsuwały ją pod brzuch. Widocznie tam była paszcza. Pawłysz wyciągnął kamerę i przez parę minut fotografował życie doliny, zmusił się nawet do powrotu pod różowe drzewo z obrzydliwymi gąsienicami, które nader się denerwowały i sprawiały wrażenie, że zaraz zaczną mu skakać do twarzy.

Na koniec zrobił zdjęcie skalistej ściany. Coś świecącego i okrągłego wspinało się po urwisku. Maksymalnie przedłużył ogniskową obiektywu i wtedy w celowniku kamery ukazało się wyraźnie białe, bezkształtne cielsko. Znał to cielsko. To był ten sam biały „słoń”, który omal nie zabił go wtedy nocą przy latarni. Lepiej być ostrożnym. Okazuje się, że różne gadziny wylazą ze swych nor także i w dzień.

Przejechał kamerą po urwisku i w dole trafiły mu w obiektyw jeszcze dwie istoty. Znacznie ustępowały rozmiarami „słoniowi” i poruszały się na dwóch nogach. Biegły po tej samej półce, co i „słoń”, wyraźnie uciekając przed prześladowcą.

– Witajcie! – powiedział głośno Pawłysz. – No i spotkaliśmy się, moi nocni goście! W razie czego możecie na mnie liczyć!

Przeniósł się na wierzchołek niewielkiego wzgórza, gdzie rosło drzewo bez pajęczyny i gąsienic. Był to znakomity punkt obserwacyjny. Należało tylko czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Na razie biały „słoń” nie dopadł jeszcze uciekających. Mieli szansę ukryć się. Jeżeli uda im się to bez pomocy z zewnątrz, tym lepiej. Zawsze to zdrowiej nie mieszać się w cudze sprawy.

Jaką ma gwarancję, że na tej planecie rozumna forma życia to właśnie nie białe „słonie”? Być może za Pawłyszem pędził jakiś stróż morskiego brzegu albo wielbiciel księżycowego światła, który uznał wędrowca za niespodziewany prezent czy dwunogą małpę, stanowiącą wyszukany przysmak w wyższych słoniowych sferach?

Uciekinierzy zeszli w dolinę, zatrzymali się i rozpoczęli naradę. W ręce jednego z nich Pawłysz zauważył długi kij czy włócznię. To przemawiało na korzyść hipotezy, że rozumne są właśnie dwunogi.

Dwunogi skierowały się ku rzece. Szły powoli, nie widząc, jak „słoń”, minąwszy półkę, wciągnął macki i poturłał się po urwisku, zupełnie jak miękka piłka. Z każdą sekundą odległość między nim a dwunogami zmniejszała się. Ręka Pawłysza sama powędrowała do miotacza.

W tym momencie jedna z dwunogich istot zauważyła przybliżanie się „słonia” i ostrzegawczo krzyknęła. Podbiegły do rzeki. Zatrzymały się. Coś musiały zobaczyć.

Pawłysz opuścił miotacz i skierował wzrok w tym samym kierunku;

Zobaczył, że w dół rzeki idą inne dwunogi. Było ich sześć. Wszystkie uzbrojone we włócznie, podobne do ogromnych widelców.

Przenosząc wzrok na znaną już sobie dwójkę zobaczył, że gwałtownie skryła się w trawie.

– Aha! – powiedział – wrogie plemiona. I nasi są w mniejszości. Sytuacja się zaostrza. Z tyłu „słoń”, z przodu rywale. No i co my z tym fantem zrobimy?

Jeden z dwunogów (Pawłysz jak kibic na stadionie podzielił obecnych na drużyny i wybrał sobie tę, której zamierzał kibicować) rzucił się na trawę i walił pięściami po kamieniach. Jego towarzysz miotał się obok. Pierwszy zerwał się, złapał włócznię i rzucił się na szóstkę wrogów.

– Zupełnie jak starożytny wiking, który wpadł w bojowy amok – skomentował to Pawłysz. Bardzo mu było żal śmiałka, który szedł na pewną śmierć. Drugie stworzenie pognało za wikingiem.

Szóstka wrogów bez zbędnego pośpiechu rozsypała się w półkole i zaczęła schodzić na dół tak, aby otoczyć pędzącego chłopaka. Jeden z nich rozwinął niewielką sieć.

Zarzucając sieć, pomyślał Pawłysz, i przebijając włóczniami. Chyba należy już wkroczyć i oznajmić: Jestem waszym nowym bogiem. Kończcie z tym przelewem krwi!

Nie zdążył jednak zrealizować swego zamiaru. Wiking nagle zmarł, potem zawrócił, jakby

zapomniał o wrogiej szóstce, i pognął w stronę towarzysza, którego już-już miała dopaść Biała Śmierć.

– Mam już pełną jasność, kto tu jest rozumny, a kto nie – skonstatował Pawłysz. – Włócznie i sieci są argumentami samymi w sobie, a to, że spieszysz na pomoc przyjacielowi, gdy znalazł się w biedzie, świadczy na twoją korzyść.

Pierwszy uciekinier złapał towarzysza i odepchnął go z drogi białego „słonia”. Sześciu wrogów zatrzymało się, nie ryzykując podejścia bliżej. Zbiegowie wdrapali się na stromy wzgórek niedaleko Pawłysza. Biały „słoń” doścignął ich, rozpląnął się w rzadki kisiel i oblał sobą podnóże pagórka, powoli wznosząc się ku szczytowi.

I kiedy wyglądało na to, że nie ma ratunku, a sześciu zdrowych byków, zamiast ruszyć na pomoc, stało i obserwowało bieg wydarzeń, Pawłysz nacisnął spust i rozpalony płomień, wystrzelony z lufy miotacza, rozerwał pierścień białej masy. Nie zwalniał spustu tak długo, aż białe cielsko potwora nie obróciło się w popiół.

Teraz już było za późno na ukrywanie się. Tym bardziej, że „swoich” dwunogich trudno zostawić na pastwę losu. Pawłysz zszedł ze wzgórka i powoli skierował się w stronę uczestników i obserwatorów tylko co zakończonej walki.

Więc Pawłysz wydał się Kolcowi garbatym olbrzymem w błyszczącej odzieży, z wielką przezroczystą głową, w której jak zarodek w ikrze tkwiła druga głowa, biała z niebieskimi oczyma o dziwnych źrenicach: zupełnie jakby ktoś wrzucił okrągłe ziarnko do niebieskiej kałuży. Kolec nie wiedział, czy olbrzym zabije go jak Białą Śmierć, czy zmiłuje się nad nim, upadł więc na kolana, odrzucając włócznie żeby pokazać, że jest zupełnie bezbronny.

Pawłysz także przyglądał się Kolcowi. To była dziwna, choć bardzo podobna do człowieka istota. Ciemną, niebieskawą skórę pokrywała bura sierść, gęściejsza na głowie i piersiach. Biodra były opasane przepaską, z której zwisał zwinięty w pierścień sznur. Krzywe krótkie nogi kończyły się płaskimi stopami. Wydawało się, że długie szpony rosną prosto z dłoni. Najdziwniejsze były jednak oczy – żółte źrenice przecięte czarną pionową kreską, zupełnie jak oczy kota. Czarna kreska rozszerzała się i zwężała, reagując z ogromną wrażliwością na najmniejszą nawet zmianę oświetlenia.

U nóg uratowanego leżało drugie stworzenie. Było mniejsze, delikatniejsze i okazało się, że to samiczka.

Sześciu wrogów zbliżyło się i stanęło za plecami Pawłysza. Kolec, spojrzawszy na swego wybawcę, szybkim ruchem złapał włócznie i zaczął coś trajkotać, szczerząc rzadkie kły.

Pawłysz nastawił czarną skrzynkę „lingwisty” na przyjęcie informacji. Niech sobie posłucha, oswoi się z leksyką i składnią. Wtedy będzie można się dogadać. A póki co powiedział, starając się, żeby jego słowa brzmiały przekonująco:

– Spokojnie, przyjacielu! Przy mnie cię nie ruszą. Potem zwrócił się do wojowników

Starszego:

– Tylko bardzo proszę bez awantur! – i pokazał miotacz.

Wojownicy naradzili się, a potem najstarszy z nich, gęsto obrośnięty kosmatą obłazącą sierścią, zamrugał kocimi oczyma i wygłosił niewielkie przemówienie, wskazując włócznie kamienną ścianę, słońce i różne przedmioty dokoła. Przemówienia Pawłysz nie zrozumiał. Tłumacz cicho szemrał mu na piersiach, ale nie wydobyło się z niego ani jedno artykułowane słowo. Pawłysz przypuszczał, że chodzi o to, że wojownicy chętnie by się mu podporządkowali, ale poczucie obowiązku nie pozwala im wypuścić uciekinierów na wolność.

I znów stanął przed problemem. Niewykluczone, że jego dwunogi narozrabiały nieludzko w domu. Na przykład zjadły swoją jedyną ukochaną babcię i teraz grozi im za to publiczna nagana. Rozpędzisz karną ekspedycję – przyłożysz rękę do rozwoju przestępczości młodzieży na tej planecie. Choć oczywiście wchodzi w grę i inne możliwości.

W końcu wzruszył ramionami zdecydowawszy, że dalsze wydarzenia powinny potoczyć się swoim torem.

Starszy wojownik zwrócił się teraz z przemową do uciekinierów. Ci najpierw protestowali i mówca podniósł głos. W końcu Kolec (to było pierwsze słowo, jakie udało się uchwycić „lingwiście”) zwiesił głowę, uniósł zupełnie już osłabłą dziewczynę i powłókł się w stronę ściany. Odchodząc obejrzał się i, jeżeli Pawłysz dobrze zrozumiał jego spojrzenie, to Kolec chciał mu powiedzieć „Chodź z nami! Tak bardzo się boję!”

I Pawłysz ruszył w ogonie procesji.

Rysowała się przed nim pociągająca perspektywa poznania życia dwunogów. Wątpliwe, aby droga była daleka – i prześladowcy, i prześladowani wybrali się w nią bez żadnego obciążenia. Tlen jest. Wrócić zawsze zdąży. I, w ostateczności, można przyjść z pomocą żółtookiemu uciekinierowi.

Rozum na tej planecie jest w początkowym stadium rozwoju i należy wątpić, aby cena życia była tu wysoka. Zauważywszy, że Pawłysz idzie za nimi, dowódca zatrzymał się i coś powiedział.

„Lingwista” westchnął i niepewnie przełożył: „Odejdź, silny duchu!” Pawłysz pogłaskał czarną skrzynkę i pochwalił „lingwistę”:

– Zuch!

„Lingwista” (trudno orzec, na ile poprawnie) przełożył słowa Pawłysza na język aborygenów i wojownik aż się potknął ze zdziwienia, ale nic nie mówiąc, odwrócił się i pognął w pogoń za pozostałymi.

Pawłysz szedł za dowódcą krok w krok. Wojownik był od niego niższy o głowę. Przez rzadką pstrą sierść na potylicy przeświecała błękitnawa skóra. Na plecach sierść była Jaśniejsza, stroszyła się jak grzebień wzdłuż kręgosłupa. W sierści mieszkwały drobne robaczki.

Wojownicy prowadzili jeńców nie przez półkę, ale prosto na urwisko, znacznie bardziej na prawo od szczeliny. Przy skale zatrzymali się. Jeden z wojowników wspiął się szybko na drzewo i stamtąd obserwował dolinę.

– Nikogo nie ma! – wykrzyknął. – Nikt nie widzi! U stóp skały leżały głazy, które oderwały się od szczytu. Wojownicy odwalili jeden z kamieni i pod nim ukazał się czarny właz.

– Tu mieszkacie? – zapytał Pawłysz.

Wojownicy spojrzeli na niego jak na idiotę. Przybyły duch mówił od rzeczy. Kto może mieszkać w czarnej jaskini?

– Mieszkamy we wsi – powiedział Kolec.

– No i dobrze – zgodził się Pawłysz. W przyszłości należy unikać naiwnych pytań. Trzeba pamiętać, że bezpieczeństwo zależy w jakimś stopniu od jego reputacji jako ducha. Jeżeli wyda się wojownikom nieszkodliwy, to jak nic przebiją go włóczniami. Po prostu żeby nie pchał nosa w nie swoje sprawy.

Dopóki wojownicy odrzucali kamienie, żeby wygodniej było wchodzić w głąb skały, Pawłysz przyglądał im się i stwierdził, że nie są wcale podobni do nocnego gościa. Przypominał sobie, że ten biegł po piasku w kierunku krzaków wyprostowany, zupełnie nie zginając pleców. I ręce miał o wiele krótsze niż tubylcy. Może się więc okazać, że na planecie żyje kilka plemion. Przecież na Ziemi żyli równocześnie mieszkańcy Cro-Magnon i neandertalczyk.

Wojownicy ułożyli kamienie u wejścia do jaskini tak, że można było wyciągnąć leżący na samym dole, a pozostałe rozsypały się tak, że z zewnątrz nikt nie domyśliłby się istnienia jaskini. Pawłysz z szacunkiem skłonił głowę przed ich sprytem. Potem dwóch weszło do środka, pomordowało się chwilę krzesząc iskry z kamieni i wreszcie zapaliło przygotowane zawczasu pochodnie.

– Idziemy! – powiedział najważniejszy.

Przed wejściem do dziury Kolec znowu odwrócił się i, jakby odgadując wątpliwości Pawłysza, zapytał go:

– Idziesz, duchu?

Pawłysz poczuł się zobowiązany wobec chłopca, którego w jakiś sposób wziął pod swoją opiekę. I odpowiedział, w miarę możliwości zdecydowanie:

– Nic się nie bój, idź!

„Lingwista” posłusznie zaszczębiotał.

Jeden z wojowników zatrzymał się przy wejściu, schylił i wyciągnął dolny kamień. Głazy zwały się, odcinając słoneczne światło i głuszając dźwięki doliny.

Został tylko mrok, rozstępujący się przed chwiejnym migotaniem pochodni. Droga przez jaskinię była długa i monotonna. Pawłysz nie włączał latarki. W przedzie chygotały się pomarańczowe plamy pochodni. Kłęby dymu, w kolorze podobne do ścian, przysłaniały mu od

czasu do czasu zgięte plecy idącego przed nim wojownika. Miał wtedy uczucie, że zamurowano go w środku góry i każdy następny krok doprowadzić może tylko do ściany. Wyciągnął nawet rękę, żeby palce, przechodząc przez obłok dymu, przegnały z mózgu fałszywy obraz.

Wojownicy znajdowali odpowiednie zakręty, trafiali do odgałęzień pieczary dzięki sobie tylko wiadomym znakom, i Pawłysz, który przez pewien czas usiłował zapamiętać drogę, szybko pojął, że jeżeli przyjdzie mu tędy wędrować samotnie, to na pewno zabłądzi.

W jednej z obszernych sal chciał sfotografować pięknie iskrzący się stalagmit. Błysnął flesz i towarzysze drogi Pawłysza padli na twarze. Może sądzili, że rozstąpiło się niebo? Trzeba było poczekać, aż przyjdą do siebie, pozbierają porzucone pochodnie. Wszyscy milczeli.

– To nic strasznego – odezwał się wreszcie Pawłysz. – Możemy iść.

– Przecież niczym cię nie obraziliśmy, duchu – powiedział z wyrzutem najważniejszy wojownik.

– Ja was też nie – uśmiechnął się Pawłysz. Ale uśmiechu nikt nie widział, a „lingwista” nie potrafił przekładać uczuć.

Podziemny chodnik zamienił się w schody. Stopnie były nierówne, trzeba było każdy z nich macać nogą i trzymać się ściany.

Procesja zatrzymała się. Koniec drogi. Przed nimi były drewniane drzwi. Pierwszy wojownik zastukał w nie końcem włóczni.

– Kto przyszedł? – rozległ się głos zza drzwi.

– Słudzy bogów – odpowiedział wojownik.

– Z czym przyszliście?

– Bogowie są zadowoleni.

Drzwi otworzyły się skrzypiąc i przez rozszerzającą się szparę rozbłysło żółte światło. Kiedy Pawłysz wszedł do środka, idący na końcu wojownik zamknął drzwi, a ten, który ich wpuścił, odsunął się pod ścianę i zapytał:

– Zawołać Starszego?

– Tak. I powiedz mu, że z uciekinierami przybył nieznany duch.

– Gdzie jest? – spytał wojownik, szukając wzrokiem Pawłysza. Pomieszczenie było oświetlone kagankami z tłuszczem, stojącymi pod ścianami. Zobaczył Pawłysza i zainteresował się:

– Skąd się wziął ten duch?

– Sam przyszedł. Nie wzywaliśmy go. Tak powiedz Starszemu. Kolec i Struga stali na środku sali, jakby oddzieleni od pozostałych niewidzialną barierą. Pawłysz wyciągnął kamerę, ale jeden z wojowników zauważył to i poprosił:

– Nie oślepiaj nas. Poczekaaj, aż przyjdzie Starszy.

Człowiek wchodzący do sali zatrzymał się na progu. Chybotliwe światło kaganków i dym

pogaszonych pochodni przeszkadzały Pawłyszowi przyjrzeć mu się dokładnie. Musiał być wodzem albo czarownikiem plemienia. Głos miał wysoki i ostry. „Lingwista” przetłumaczył jego słowa:

– Uciekinierów zamknijcie. Bogowie zadecydują o ich losie. Starszy był niski, otulał się w grubą tkaninę gestem kogoś, komu jest bardzo zimno. Kolec odwrócił się do Pawłysza i powiedział:

– Ratuj mnie, duchu!

Pawłysz ruszył do przodu i wojownicy rozstąpili się, żeby zrobić mu miejsce.

– Witaj, Wielki Duchu! – powiedział Starszy. – Wiesz, że nie możemy ich uwolnić.

Decydują bogowie.

– Życie w rękach bogów – powiedział jeden z wojowników.

– Życie w rękach bogów – wymamrotali jak zaklęcie pozostali.

– Pójdiesz ze mną. Duchu? – zapytał Starszy.

– Tak – powiedział Pawłysz. – Nie chcę, żeby stała się im jakaś krzywda.

– Idziemy – zadecydował Starszy, nie ruszając się jednak z miejsca. Czekał, aż Pawłysz zbliży się do niego.

Starszy stał lekko pochylony, silny, i widać było, że ma się na baczności. Jego ciemną twarz pokrywała żółta sierść. Oczy kryły się pod wydatnymi łukami brwiowymi. Był niższy nawet od Strugi.

– Idziemy – powtórzył. Odwrócił się i minął drzwi, przekonany, że duch pójdzie za nim. Uszy Starszego przylegały do potylicy. Miały dziwny kształt, inny niż uszy pozostałych, były długie i zastrzone.

Następne pomieszczenie, małe i ciemne. Starszy ominął nie zatrzymując się. Kulał lekko na prawą nogę. Z tyłu dobiegały odgłosy kłótni.

– Kolec boi się – powiedział Starszy nie odwracając się. – Złamał prawo.

– A co on zrobił takiego? – zapytał Pawłysz. Starszy pchnął jeszcze jedne drzwi i weszli w długi korytarz. Kaganki chwiały się pod sufitem.

– Złamał prawo – wymijająco odpowiedział Starszy.

– Na czym polega jego przestępstwo? – upierał się przy swoim Pawłysz.

– Duch wie – powiedział Starszy. – Duch zna sprawy śmiertelnych.

– Przyszedłem do doliny, kiedy twoi wojownicy już go doścignęli.

– Duch wie – powtórzył Starszy.

W końcu korytarza pojawiła się plama dziennego światła. Starszy machnął ręką, spędzając z sufitu drzemiące tam maskary. Zawirowały i zniknęły w jasnym prostokącie. Pawłysz zmrużył oczy. Zaczęły mu łzawić. Podniósł przyłbicę, chcąc je otrzeć. Starszy obejrzał się. Stał u wyjścia wsparty o ścianę i obojętnie przyglądał się, co robi nieznajomy.

Wyszli na niewielki placyk, gdzie widać było jeszcze trzy czarne otwory i czwarty, zamknięty drzwiami z cienkich, powiązanych sznurem bali.

Z platformy otwierał się widok na górską dolinę, ze wszystkich stron otoczoną stromymi skałami. Tu, w swej górnej części, dolina była wąska. Przeciwległe zbocze patrzyło na Pawłysza rzędem czarnych otworów jaskiń. Na dnie doliny skupiały się chałupy. Obok nich przepływał błękitny strumyk, który wpadał do niewielkiego jeziora, obrośniętego drzewami. W dolinę wbijał się język lodowca, odgradzony kamiennym piargiem, spod którego wypływał jeszcze jeden strumień, także wpadający do jeziora. Język lodowca stanowił przegrodę, za którą ledwie widoczne we mgle rysowały się zarośla, rosnące aż do zamykającego wyjście z doliny zbocza.

– Idziemy – powiedział Starszy i wskazał zamknięte drzwi.

Teraz, w świetle dziennym, wydał się Pawłyszowi mniej podobny do istoty rozumnej niż Struga i Kolec, a nawet niż wojownicy. Choć w sumie nie powinno się oceniać cudzego życia wedle własnej miary. Niewykluczone, że tutejszy geniusz bardziej jest podobny do orangutana, niż wiejski przygłup, będący być może sobowtórem człowieka.

– Znowu do jaskini? – zapytał Pawłysz, dając do zrozumienia, że wcale nie uśmiecha mu się myśl o rozstaniu ze światłem dnia.

– Tam jest mój dom – powiedział Starszy. – Nie wiesz o tym?

– Nie miałem okazji bywać.

Być może w tej dolinie duch powinien być wszechwiedzący i tym pytaniem Pawłysz mocno nadszarpnął swoją opinię?

– Pójdiesz do świątyni? – spytał Starszy. – Spieszysz się? Jeden z wojowników wyszedł z pieczary i przykucnął, grzejąc się w promieniach słońca. Starszy nie zwrócił na niego uwagi. Otworzył drzwi i poszedł pierwszy. Pawłysz ruszył za nim. W otwarte drzwi wpadało światło i wiatr przeczesywał futro na leżących na podłodze skórach. Na środku stał duży płaski kamień, a na nim gliniane naczynie z jakąś potrawą. Pawłysz przypomniał sobie, że zgłodniał. W kącie, oparte o ścianę, stały włócznie, piętrzyły się gliniane garneczki, kaganki, rogi, gałęzie, korzenie – zupełnie jak w teatralnej rekwizytorni.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział Starszy, usiadłszy na skórze.

– Skąd?

– Wiedziałem. Znowu uchylił się od odpowiedzi. Patrzył chytrze na Pawłysza. Wąskie źrenice zamieniły się w czarną nitkę i wydawało się, że prowadzi grę, której reguły znane są tylko jemu i duchowi, w tak banalny sposób zjawiającemu się w dolinie. Pauza przeciągała się. Starszy czekał, co powie Pawłysz. A Pawłysz nie wiedział, czy zadawać pytania, czy odejść stąd i zejść w dolinę, do chałup.

– Co chcecie z nimi zrobić? – zapytał w końcu, bacznie obserwując rozmówcę.

– Odprowadzimy do świątyni – powiedział Starszy, jakby się to samo przez się rozumiało.

– Będą żyć?

Starszy nie odpowiedział. Podniósł do ust naczynie i napił się. Pawłysz nie częstował. Pawłysz wyciągnął z kieszeni skafandra tubkę z sokiem, podniósł przyłbicę i ugasił pragnienie. Potem położył na stole pustą tubkę. Starszy patrzył na to z pewnym zainteresowaniem, ale dopiero kiedy tubka potoczyła się po stole i stuknęła w naczynie, zdziwił się. Odsunął się od stołu, popatrzył spłoszony na Pawłysza, wyciągnął długą kosmatą rękę i ostrożnie dotknął tubki, jakby oczekiwał, że ta nagle zniknie. Tubka nie zniknęła. Starszy podniósł ją do nosa, powąchał i odłożył na miejsce. Pokiwał głową.

– Zdziwiłeś się? – zapytał Pawłysz.

– Duchom wiele wolno – odparł Starszy.

– Chciałbym zejść do wsi.

– W dół?

– Tak.

– Źle ci tu?

– Nie, dobrze. Ale chcę obejrzeć wieś.

– Nie pójdziesz do świątyni?

– Pójdę. Świątynia też mnie interesuje.

Starszy znowu się zdziwił.

– Interesuje? – zapytał. Zmarszczył niskie czoło. Rozwiązywał jakiś problem. – Pójdziesz do świątyni – powiedział na koniec. – I tam będziesz czekał.

– W porządku – zgodził się Pawłysz. – A długo mam czekać?

– Nie – odpowiedział Starszy.

Tubka nie przestawała go interesować. Ręce cały czas do niej wracały, długie szpony obracały żółtą zabawkę.

– Zabiłeś Białą Śmierć – powiedział Starszy. – Dlaczego ją zabiłeś?

– Białą Śmierć? – zdziwił się Pawłysz. – Nie wiem, o co ci chodzi?

– Tam, nad rzeką. Wojownicy mówili, że zabiłeś Białą Śmierć.

Pawłysz domyślił się, że tak tu nazywają białe „słonie”.

– Tak – odpowiedział. – Była niebezpieczna dla ludzi.

– Ale oni złamali prawo.

Boże, daj mi cierpliwość! – pomyślał Pawłysz. Rozmowa znów utknęła w martwym punkcie. Interlokutorzy ni diabła nie mogli się zrozumieć. Prawdopodobnie coś całkowicie oczywistego umknęło uwadze Pawłysza. I czuł, że Starszy wie coś, czego nie wie on sam.

– Kto z twoich ludzi przyszedł do mojego domu? – zapytał Pawłysz.

– Gdzie jest twój dom? – Na brzegu morza. Za rzeką.

– Twój dom? – zdziwił się Starszy.

– Tak, oczywiście. Przyleciałem z nieba. Mój dom jest na brzegu morza. Potem wrócę.

– Oczywiście! – powiedział Starszy.

– Kto tam chodził?

– Nikt nie opuszczał doliny.

– Nieprawda – uparł się Pawłysz.

– Nikt nie wychodził z doliny. Ten, kto wyjdzie z doliny, łamie prawo. I zabija go Biała Śmierć.

– Twoi wojownicy wyszli z doliny – powiedział Pawłysz.

– Moi wojownicy szli po śladach tego, który złamał prawo. Zaczarowany krąg. Nikomu nie wolno, ale wojownikom wolno, dlatego, że nikomu nie wolno.

– Chodźmy! – powiedział Starszy. – Idziemy do świątyni. Wyszli na placyk. Wojownik dalej siedział pod ścianą, drzemał. Ciężka,

szara chmura przesuwawała się nad drugim końcem doliny, tam padał deszcz.

Przy jednej z chat bawiły się dzieci. Wiatr unosił kłęby pyłu. Planeta była przyjazna i spokojna.

– Czy to daleko? – zapytał Pawłysz.

– Wiesz – powiedział Starszy.

– Aha! – zgodził się Pawłysz.

Starszy podszedł do brzegu platformy. Ukazała się szeroka ścieżka, łagodnie schodząca w dół urwiska. Po jakichś dziesięciu krokach Starszy zatrzymał się, popatrzył na Pawłysza i nieoczekiwanie skoczył do przodu. Pawłysz spojrzął pod nogi. Spod cienkiej warstwy piasku i żwiru wystawały gałęzie. Wyglądało na to, że maskują pułapkę. Pawłysz przymierzył się i skoczył do przodu tak, aby wylądować obok Starszego. Ale nie było to łatwe, przeszkadzały rzeczy, przytroczone do skafandra. Ale Pawłysz nie chciał narazić na szwank swego prestiżu. Jeżeli skaczą tubylcy, tym bardziej powinien skoczyć duch. Skok nie należał do najbardziej udanych. Coś trzasnęło pod butem i Pawłyszowi ziemia usunęła się spod nóg. Na ścieżce zostały tylko ręce. W głęboką rozpadlinę leciały tylko kamienie i gałęzie. Pawłysz nawet nie zdążył się przestraszyć. Nogi ślizgały się po zboczu, w żaden sposób nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia.

– Pomóż mi! – powiedział najspokojniej, jak potrafił. Starszy nie ruszył się z miejsca. Myślał. Widocznie duch nie wytrzymał próby i Starszy rewidował swój pogląd na tę sprawę.

W końcu noga oparła się o niewielki występ. Pawłysz wsparł się łokciami o skraj dróżki i podciągnął się w górę. Przecucie niebezpieczeństwa zmusiło go do podniesienia wzroku. Starszy zrobił niepewny krok do przodu, ale natknął się na spojrzenie Pawłysza i zrezygnował.

– Odejść! – rozkazał Pawłysz.

Kamień, na którym oparł nogę, poleciał w dół, ale na szczęście więzień zdołał już do pasa wydostać się z pułapki. Jednym szarpnięciem oparł na ścieżce kolano i podniósł się uważając,

aby nie uszkodzić butli tlenowych.

Starszy stał przytulony plecami do skały i z wyrazem błogości drapał się w brzuch, zupełnie jakby zapomniał o istnieniu ducha.

Pawłysz podniósł się, otrzepał z pyłu i pozwolił sobie na spojrzenie za siebie. Fałszywy mostek przykrywał rozpadlinę, ciągnącą się aż do rzeki. Poczł chęć obrażenia podstępnego gospodarza:

– Boisz się, że po ścieżce przejdą ludzie z dołu? i – Nie boję się niczego – powiedział Starszy. – Idziemy do świątyni?

– Tak – odparł Pawłysz. W końcu sam był sobie winien. Następnym razem trzeba będzie bardziej uważać. W obcym świecie roztargnienie może się paskudnie skończyć.

Pawłysz szedł za Starszym. Ten wyraźnie pilnował się przed grożącym z dołu niebezpieczeństwem. Czego się bał? Swoich współplemieńców? Białej Śmierci? Sąsiadów z innego plemienia?

Świątynia była wyciosana w skale, tak jak i dom Starszego. Od szerokiego placu wiodły do niej topornie wyrąbane schody. Samo wejście było niewielkie, zwiężało się ku górze, po jego obu stronach stały niewysokie kolumny. Na każdej wyrzeźbione było oko, przedzielone wąską żrenicą. I to wszystko.

– Idź tam! – powiedział Starszy.

– A ty?

– Ja wrócę.

Co jeszcze wykombinował jego przewodnik? Pawłysz doszedł do wniosku, że prawdopodobnie zwali mu się na głowę kamienny słuł.

– Pójdiesz pierwszy – powiedział.

– Dlaczego? – zdziwił się Starszy. Grzebień sierści na jego głowie stanął dęba.

– Nie podoba mi się tu – oznajmił Pawłysz. – Idę do wsi.

– Nie wolno! – powiedział Starszy.

– Starszy! – rozległo się z dołu.

– Co?

Po ścieżce szedł wojownik. Starszy ruszył na jego spotkanie i wojownik, pomyślawszy, że meldunek, który przynosi, nie jest przeznaczony dla duchów, pochylił się i zaczął coś Starszemu szeptać na ucho. Nowiny wyraźnie się Starszemu nie spodobały. To było widać gołym okiem. Sierść na karku stanęła mu sztorcem, mięśnie pleców naprężyły się, nogi ugięły w kolanach, jakby przygotowywał się do skoku.

– Hej – ryknął. Rzucił się do przodu, wbił szpony w twarz wojownika.

Ten wypuścił z ręki włócznię, upadł na kolana. Starszy podeptał go, potem szybkim jak błyskawica ruchem chwycił włócznię i cisnął ją w kłęczącego. Wojownik zdążył odskoczyć,

okucie broni rozpadło się, uderzając o skałę.

A Starszy już pędził po ścieżce, zapomniawszy o swojej ofierze, o Pawłysz, który skromnie odsunął się na bok, o całym bożym świecie. Zniknął za zakrętem, jakby go ziemia pochłonęła.

Pawłysz podszedł do wojownika, który groźnie wyszczerzył kły.

– A niech was wszyscy diabli wezmą! – zaklął Pawłysz. – Wygląda na to, że jesteśmy absolwentami różnych żłobków!

Iść do świątyni? Tego właśnie chciał Starszy. A jemu Pawłysz nie wierzył. Już lepiej zejść do wsi. Czort wie, co jeszcze przyjdzie Starszemu do głowy, kiedy przypomni sobie Pawłysza.

Wojownik lizał rany na ręce.

Pawłysz ruszył w kierunku chat.

Udeptany plac przed nimi był pusty. Z kupy śmieci uniosła się chmara owadów, zaszumiała nad hełmem. I nagle na słońeczko wypełzł z chałupy dzieciak z kością w łapce i na widok obcego zamarł ze strachu. Z chaty wysunęły się długie ręce i energicznie wciągnęły malca do środka. Rozległ się pisk. Drzwi do drugiej chałupy podparte były dużym kamieniem.

Domy były do siebie podobne. Nawet nie chałupy, a prymitywne kryjówki, byle jak sklecone i przykryte gałęziami i liśćmi.

Pawłysz cofnął się nad brzeg rzeki i stamtąd sfotografował wieś. Potem zaczął się rozglądać dokładniej. Spojrzał w górę. Wejście do pieczary, przez którą przedostał się do doliny, było z dołu niewidoczne. Przed drzwiami do świątyni widać było ciemną plamę. To wojownik dalej leżał u stóp schodów.

Nagle Pawłysz poczuł przyływ niepokoju. Co tak bardzo rozdrażniło Starszego? Może wojownicy zrobili jeńcom jakąś krzywdę? A może Kolec i dziewczyna uciekli? Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej?

Wrócił do stóp urwiska i przy strumieniu spotkał starą kobietę, różniącą się od widzianych przez niego tubylców. Szła, podpierając się końcami palców u rąk, a ręce miała tak długie, że wcale się przy tym nie musiała schylać. Krzywy gliniany garnek chybotął się na płaskiej głowie. Mogło się wydawać, że kobieta podtrzymuje go brwiami, po prostu nie miała czoła. Oczy, schowane w głębokich oczodołach, świeciły żółtym blaskiem. Zobaczywszy Pawłysza przysiadła, jakby nogi się pod nią ugięły, ukryła twarz w trzęsących się rękach i coś niezrozumiale zamamrotała.

– Nie bój się! – powiedział Pawłysz. – Nie zrobię ci nic złego.

– Duch, Duch! Wielki Duch! – mamrotała staruszka. „Lingwista” trzeszczał, starając się przełożyć jej słowa. – Daj mięsa... daj... Nie zabijaj...

– Można by pomyśleć, że spotkanie ze mną przstraszyło ją, ale nie zdziwiło. Ciekawe – powiedział Pawłysz odchodząc od starej i kierując się w stronę świątyni.

Wojownik, zobaczywszy go, podniósł się. Piasek wokół niego pociemniał od krwi.

– Idź do domu – poradził wojownikowi Pawłysz. – Wykrwawisz się! Wojownik jakby nie słyszał, choć „lingwista” zaszczębiotał zupełnie zrozumiale. Pawłysz przyjrzał się wejściu do świątyni, ale tę wizytę postanowił odłożyć na później. Pułapka, w którą o mało nie wpadł, przecinała ścieżkę na pół. Tym razem tak obliczył skok, że z zapasem wylądował na drugim brzegu rozpadliny.

Tylko butle zadźwięczały. Na placyku przed pieczarą i domem Starszego nie było żywej duszy.

– Halo, panowie! – zawołał Pawłysz. – Gdzie was wyniosło! Gość czeka! Nikt nie odpowiedział. Z ciemnego wejścia wyskoczyła przestraszona krzykiem maskara i uniesiona porywem wiatru odleciała.

Pawłysz włączył latarkę hełmową i ostrożnie wszedł w ciemny korytarz, prowadzący do sal, które leżały przed podziemnym przejściem. Szedł powoli, żwir trzeszczał pod stopami i przez to cisza stawała się coraz głębsza. Obszedł wszystkie pomieszczenia, ale wojownicy i jeńcy zniknęli bez śladu. Drzwi do podziemia były otwarte. Nie dobiegał zza nich żaden dźwięk.

Duchy Potężny duch poszedł za Starszym. Kolec zrozumiał, że to już koniec. Bardzo chciał żyć, ale mieszkańcy doliny rzadko dożywają podeszłego wieku. Śmierć czyha wszędzie, na polowaniu i w polu, kryje się w chorobach, w szaleństwie żywiołów i w niełasce Starszego. Po wszystkim Starszy rozkazuje zabrać ciało zmarłego do świątyni, zamknąć za nim mocne drzwi. A wojownicy niosący trupa wyjdą potem ze świątyni i będą śpiewać straszne pieśni o Śmierci. W świątyni zostanie tylko Starszy. Po jakimś czasie wojownicy znowu wejdą do świątyni i wyniosą ciało. Ciało będzie rozcięte, żeby uwolnić demony, kryjące się w martwych i chorych. I spalą zwłoki. Starzy ludzie pamiętają, jak jeszcze niedawno trupy zjadano, a najlepsze kąski dostawały się wojownikom. Ale to było wtedy, gdy jeszcze mieszkańcy doliny byli całkiem dzicy.

Kolec wiedział o śmierci, nieraz ją widział, ale to była cudza śmierć. Własna śmierć powinna odejść, jak odchodzi lekki wiosenny deszcz. Odejść w bezcielesny świat duchów, w którym nie ma długonogów, Słońca i czystej wody.

– Teraz już nam nie uciekniesz – powiedział niebie kawy wojownik, którego nazywano Chmurą. Starszy wziął go ze wsi, kiedy Chmura był jeszcze chłopcem. Wojownik popchnął Kolca w ciemny kąt i roześmiał się.

– Chmuro – odezwała się Struga – pamiętasz, że mamy wspólną babkę?

– Jestem wojownikiem świątyni – powiedział Chmura. – Nie mam ojca ani matki.

– Tak było dawniej – zauważył Kolec. – Teraz każdy ma ojca i matkę. Tak mówił Obcy.

– Po co z nimi gadasz! – zbeształ Chmurę dowódca wojowników, Zimny Szron.

Uderzenie przewróciło Kolca. Zaskrzypiały drzwi. Słyszać było, jak Chmura przygotowuje się do pilnowania jeńców.

– Idę – powiedział Szron. – Nie zaśnij!

– Idź! – odpowiedział stróż.

W ciemności Kolec odszukał rękę Strugi, usiadł koło niej, przytulił się. We dwoje było im cieplej. Ściany wrogo milczały, niski sufit dusił i przygniatał...

– Chmuro, czy nasz duch wróci tu po nas?

– Nie wiem. Starszy poszedł z nim do świątyni. Starszy zna drogi bogów. Struga krzyknęła – chłodny, śliski wąż przemknął po jej stopach.

– Nie bój się – uspokajał ją Kolec.

Chmura zaczął śpiewać pieśni o Wielkiej Tajemnicy, o drodze do Czarnego Strumienia. Żółty płomycek światła przesączający się przez szparę w drzwiach przesunął się. Strażnik przyciągnął bliżej kaganek. Jak wszyscy mieszkańcy doliny bał się ciemności.

Struga wbiła paznokcie w rękę chłopca.

– Co ty?

– Cicho! Tu ktoś jest!

– Tu są tylko węże.

– Tu jest ktoś większy. Siedzi za nami. Teraz i Kolec wyczuł cudzą obecność. Czujny słuch nie pochwycił żadnego dźwięku. Nic nie pachniało. Nie było niczego. Poza obecnością.

– Odejdź, duchu! – powiedział Kolec. – Jeżeli nie chcesz nam pomóc, odejdź.

– Może to nasz duch? – zapytała Struga.

– Co wy tam gadacie? – zainteresował się strażnik.

Z kąta jaskini doleciał krótki śmieszek.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Chmura z pochodnią w ręce.

– Co to jest?! – krzyknął.

Światło pochodni wydobyło na moment z ciemności ludzką sylwetkę, mętną i niewyraźną. Sylwetka po prostu wsiąkła w ścianę. – To nie nasz duch – westchnęła Struga.

Ale Kolec myślał o czym innym. Wojownik trzymał w ręku pochodnię. Ręka była tuż-tuż. Kolec szarpnął za tę rękę i Chmura, rąbnąwszy głową o framugę, wpadł do komory, jęknął i osunął się na kamienną podłogę. Kolec ogłuszył go, porwał włócznię i nie oglądając się na nic popędził przed siebie.

W dolinie zaraz ich złapią. Wojownicy jedzą mięso i dlatego szybko biegają. Tylko w ciemnej pieczarze można się schować. Potem będzie szukał drogi nad rzekę. Struga biegła za nim. Pamiętali, jak trafić do drewnianych drzwi. Strażnik, usłyszawszy głuchy tupot, podniósł się, wystawił włócznię, mrużąc w półmroku oczy. Kolec wyskoczył zza rogu, przewrócił strażnika, spróbował wyważyć drzwi. Udało się! O mało nie upadł na kamienne schody, Struga ledwie zdążyła go złapać. Słaby odbłask światła padał z góry, przed nimi była ciemność. Ich szansą był słuch, powonienie i pamięć, pamięć prymitywnej istoty, przechowująca zakrety,

urwiska i rozpadliny na długiej drodze nad rzekę.

Z tyłu dobiegł hałas pogoni. Kolec biegł, wyciągnawszy przed siebie rękę z włócznią. Wymacawszy jakąś dziurę czy kamień uprzedzał o tym Strugę.

Prześladowcy nie zostawiali w tyle. Też przecież znali tę jaskinię. Byli wściekli. Wiedzieli, że jeżeli nie złapią uciekinierów, dosięgnie ich gniew Starszego. Bardzo się tego bali.

– Szybko się stąd wydostaniemy? – zapytała Struga. – Ja już nie mam siły. Zaraz upadnę.

Kolec zrozumiał, że nie uciekną. Skoczył w bok, w obcą wrogą ciemność, i pociągnął za sobą dziewczynę.

– Odpoczniemy? – Teraz milcz – wyszeptał Kolec. – Całkiem milcz, nie oddychaj.

Tupot i krzyki były już tak blisko, że Kolec z trudem powstrzymywał się, żeby nie pognać dalej, przed siebie, wszystko jedno gdzie, byle jak najdalej od strasznej śmierci, od wojowników... Przypadł do ziemi i zatkał Strudze usta ręką.

– Cicho! Milcz! – błagał bezdźwięcznie. – Cicho... Kroki były już całkiem blisko. Słyszeli przerywane oddechy i ochryple krzyki.

– Będziemy czekać? – szepnęła Struga.

– Trochę – odpowiedział Kolec. – Wrócą i będą nas szukać.

– A potem?

– Odpoczniemy i spróbujemy dostać się do wyjścia. Ale nie główną drogą, a tędy, między kamieniami. Pamiętasz, ilu biegło wojowników?

– Nie. Dużo.

– Może sześciu. Albo siedmiu. Trzeba to wiedzieć. Będziemy potem biec przez wąską jaskinię. Żebyśmy nie wpadli w pułapkę.

– Zabijesz ich?

– Jeżeli będzie jeden, to może zabiję, jeżeli dwóch, to oni zabiją mnie. Kolec był śmiertelnie zmęczony, chciał tylko przytulić się do Strugi i usnąć.

– Jesteś wielkim myśliwym – powiedziała Struga. – A może biegnijmy z powrotem? Schowamy się we wsi.

– Tak nie można. Tam jest Starszy. I inni wojownicy. – Nie ma na co czekać. Wyczują nas węchem. Słyszysz? Płynie woda. Chodźmy przez wodę.

– A jeżeli jest głęboka?

– Trzeba się spieszyć.

– Poczekaj! – zatrzymał ją Kolec. – Zaraz będą biegli z powrotem. Wtedy pójdziemy.

Mówili cicho, bardzo cicho. Ale głos niósł się po pieczarze i Starszy, spieszący po śladach wojowników, usłyszał rozmowę i nim Kolec wyczuł jego zapach, podszedł zupełnie blisko. Zbyt blisko.

– Stój! – powiedział cicho Starszy. – Nie znasz drogi w ciemności. Nigdzie nie biegnij.

Starszy mógł zawołać wojowników. Zamiast tego mówił bardzo cicho. Był ostrożny. Stał w odległości dziesięciu kroków od zbiegów i chował się za kamieniem. Doskonale wiedział, gdzie się znajdują. Zdradzał ich zapach i ciepło ciał. Nikt w plemienu nie wyczuwał ciepła żywych istot tak, jak Starszy. Mógł być doskonałym myśliwym.

Włócznia uderzyła o kamień, złamała się i Starszy, wyszedłszy zza skały, nastąpił na jej szczątki.

– Kolec, niczego więcej nie możesz zrobić. Chodź do mnie. A Struga niech idzie przed tobą.

– Nie idź – powiedziała Struga.

– Duchy są wspaniałomyślne – mówił dalej Starszy, jakby nie słyszał słów Strugi – mogą ci przebaczyć.

Krzyki wojowników zbliżały się. Szli z powrotem, zaglądając w odgałęzienia jaskiń i głośno przeklinając.

– Jeżeli przyjdiesz sam, zaprowadzę cię do komory i zamknę – powiedział Starszy. – I będziecie czekać, co powiedzą duchy. Jeżeli przyjdą wojownicy, zabiją cię. Są wściekli i nie potrafię ich powstrzymać. Wiesz o tym. Chodź!

– Kolec, nie idź! – błagała Struga.

Kolec pełzył na spotkanie cichego równego głosu. Jeszcze moment i będzie mógł skoczyć i...

Starszy usłyszał, poczuł, odsunął się w bok i Kolec nie mógł uderzyć tak, jak sobie to zaplanował. Upadając, wczepił się w ostrą sierść Starszego i pociągnął go za sobą. Przez chwilę słyhać było tylko sapanie walczących, zgrzyt zębów i szuranie nóg o kamienie. Struga rzuciła się na pomoc, ale w ciemności nie mogła dostrzec, gdzie kto jest. I wtedy Starszy krzyknął. Jego krzyk wypełnił całą jaskinię:

– Hej! Tutaj!

Wojownicy byli już blisko. Rzucili się na uciekinierów. Kolec oderwał się od Starszego, wyrwał z łap wojowników i skoczył za stalagmit. Zatrzymał się na mgnienie oka. Za nim kłębiły się ciała, pisała Struga. Co robić?! I Struga jakby odgadła jego myśl: – Uciekaj! – krzyknęła – uciekaj! Biegnij nad rzekę! Kolec posłusznie pobiegł w dół jaskini. Krzyk uwięzionej dziewczyny dodawał mu sił.

Głos ucichł. Tylko dzikie wrzaski wojowników i niezrozumiałe słowa Starszego rozlegały się w pieczarze.

Pawłysz wyszedł na placyk przed jaskinią. Gdzie podzieli się wszyscy wojownicy? Znowu zeszli do podziemi? Może napadło na nich jakieś wrogie plemię? Nie, najprawdopodobniej coś złego stało się z jeńcami. Ale włączyć samemu do czarnej dziury...

Zajrzał do sadyby Starszego. Była pusta. Po diabła wplątywał się w tę całą aferę? Sława, w sumie sama logika wymaga, żebyś zostawił te stworzenia w spokoju. Jeżeli chce się kogoś na siłę uszczęśliwić, to można doprowadzić do rezultatów dokładnie odwrotnych. Czy nie lepiej,

lekarzu pokładowy, żebyś wrócił do swoich obowiązków? Ale szkoda dziewczyny i chłopca.

Wszedł do domu, usiadł na skórkach. Tu przynajmniej nie dokuczały tłukące o przyłbicę hełmu muchy.

Jakkolwiek na to popatrzeć, i tak teraz się z doliny nie wydostanie.

– Odpoczywa pan, Pawłysz?

Pawłysz podniósł głowę. Naprzeciwko niego, na futrze, w miejscu, gdzie niedawno rozsiadał się Starszy, umościł się wygodnie wielkooki młodzieniec. Oparł podbródek na kolanach, podłożył pod niego dłoń i uporczywie wpatrywał się w Pawłysza. Ogromne oczy były przezroczyście i całkiem pozbawione białek. Młodzieniec miał długą szyję i wąską, jakby ściśniętą z boków głowę – zupełnie jakby natura ze wszystkich sił starała się podkreślić ptasią delikatność tej istoty.

– Tak sobie rozmyślam – powiedział Pawłysz i dopiero Wtedy się zdziwił. – Skąd pan się tu wziął?

– Byłem tu – odpowiedział młodzieniec.

Pawłysz usiłował jakoś ten problem rozwiązać. Skąd wziął się tu nieznajomy? Zna język rosyjski. Nie potrzebuje hełmu ani skafandra. Jest lekko ubrany. To wszystko znaczy, że mieszka tutaj, że jest przyzwyczajony do tego świata. Zna moje nazwisko!

– Pan był w „Kompasie”?

– Byłem.

– Dlaczego?

– A nie zapyta pan, po co przyszedłem?

– To prawie jedno i to samo.

– Nie miałem złych zamiarów. Zwykła ciekawość. Nie chciałem, żeby mnie pan zobaczył. Spokojnie wrócilibyście na Ziemię, jak tylko przyleci pomoc. Ale kiedy zobaczyłem, że pan mnie zauważył, pomyślałem sobie, że to pana zaintryguje.

– Nie odpowiada to panu?

– Nie. Nie doceniłem pana. Nie przypuszczałem, że dostanie się pan do doliny.

– Skąd zna pan mój język?

– Znam. – Młodzieniec wyraźnie nie miał ochoty dyskutować na ten temat. Zaczął mówić o czymś innym. – Proszę mi wybaczyć, że spotkało pana tyle nieprzyjemności z powodu awarii. Niestety, nie było mnie wtedy w dolinie. Nie mogłem panu pomóc. Potem Starszy powiedział mi, że nad wsią ukazała się spadająca gwiazda. Zainterесowało mnie to. Najpierw sądziłem, że statek kompletnie się rozbił. A pan doszedł do latarni?

Ręce młodzieńca były w ciągłym ruchu.

– Tak – powiedział Pawłysz. – Parę lat temu ktoś tu był. Może automatyczny zwiadowca?

– Parę dziesięcioleci – poprawił młodzieniec.

– Nie znaleźli śladów cywilizacji.

– Roboty mogą się mylić. Ślady, które są w stanie rozpoznać, muszą być bardzo wyraźne.

– Mówi pan po rosyjsku prawie bez akcentu. – Pawłysz uparcie i beznadziejnie usiłował zaspokoić swą ciekawość. Młodzieniec uśmiechnął się:

– Dziękuję za komplement.

– Dlaczego uważają tu pana za ducha?

– Skąd ten wniosek?

– Starszy i wojownicy nie byli szczególnie zdziwieni moim przybyciem. Od początku mnie to (zaciekało).

– Jest pan spostrzegawczy – przerwał młodzieniec. – Proszę mnie teraz uważnie posłuchać. Obiecuję, że przyjdę na statek i wszystko panu dokładnie wytłumaczę. Kim jestem, co wiem o panu, skąd znam język. Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Teraz jednak mamy bardzo mało czasu. W każdej chwili może ktoś tu wejść.

Przy tych słowach młodzieniec lekko podskoczył, podniósł się. Był wysoki i wiotki.

– A tak a propos, gdzie jest Starszy i wojownicy? Co się dzieje z jeńcami? – zapytał Pawłysz.

– Z jakimi jeńcami?

– Struga i Kolec – Pawłysz podniósł się i przysunął do ściany, chcąc zrobić młodemu człowiekowi miejsce.

– Już ich pan poznał?

– I to w bardzo) dramatycznych okolicznościach.

– Kolec i Struga siedzą w odpowiednim dla nich pomieszczeniu. Nic złego im się nie dzieje. Byłem tam parę minut temu. – Młodzieniec zatrzymał się przy drzwiach i wiotkie ręce zawisły na moment w powietrzu.

– Komora jest pusta.

– Myli się pan. Proszę za mną. Powtarzam: nie mamy czasu! Nasze spotkanie było czystym przypadkiem. Po prostu zajrzałem tu po drodze. Właściciel tego domu może zaraz wrócić.

– Starszy też gdzieś pobiegł.

– Nigdzie nie pobiegł! Proszę mnie posłuchać: niech się pan nie wtrąca w sprawy doliny! Wyprowadzę pana stąd sobie tylko znanymi ścieżkami. Potem postaram się rozplątać to, co pan tak starannie zaplątał.

– Niczego podobnego nie zrobiłem!

– Proszę mi nie przerywać! Będzie pan czekał na mnie na statku. Przyjdę. Przyjdę szybko, może za parę godzin. I dam panu słowo, że wszystko wyjaśnię. A teraz proszę iść za mną. I im szybciej o panu w tej dolinie zapomną, tym lepiej.

Z przeciwka zbliżał się Starszy.

Młodzieniec zamarł, a Pawłysz omal na niego nie wpadł.

– Już jest za późno – powiedział po rosyjsku młodzieniec. – Niech pan milczy. Ja będę mówił. Zatrzeszczał „lingwista”. Młody człowiek przeszedł na język tubylców.

– Gdzieś ty przepadł? – zwrócił się do Starszego. Jego głos był wysoki i ostry.

Dwaj wojownicy, którzy wyszli z jaskini w ślad za Starszym, cofnęli się z powrotem w ciemność.

– Wielki Duchu! – wykrzyknął Starszy, pochylając się głębokim ukłonie. Zadarł przy tym głowę, aby nie tracić młodzieńca z oczu. – Władco duchów! Jestem wobec ciebie pełen winy! Ale myślałem, że to fałszywy duch, nasłany przez Wielką Ciemność. On jest podobny do zwykłych śmiertelników.

– Chodź ze mną – rozkazał młodzieniec, mijając Pawłysza. – Nie trzeba rozmawiać pod gołym niebem – dodał. – Mogą nas zobaczyć.

– Masz rację, Wielki Duchu – zgodził się Starszy. – Niech ściany ukryją nas przed oczami obcych. Na łapach Starszego Pawłysz zauważył krew.

– Mów! – powiedział młodzieniec, zwracając się do Starszego. – Mów, co się stało!

– Uciekli. Nie wiem, jak.

– Czym zawinili? – zapytał młodzieniec. – Widziałem ich w jaskini. Mów szybko!

– Złapaliśmy ich. Oni uciekali, ale udało się ich złapać. Nie wiesz? – Starszy podniósł głowę i Pawłysz zobaczył na jego szyi krwawe rysy.

– Nie pytaj ducha! – palec młodzieńca na moment znalazł się przed oczami Starszego. – Wiesz, że nie wolno pytać ducha! Jeżeli mówię, że chcę wiedzieć, masz opowiadać.

– Ona była zła – powiedział Starszy. – Pamiętasz Wielki Duchu, że jej ojciec przyszedł z gór. Chcieliśmy go zabić, ale ty powiedziałaś: „Będzie żył!”

– Jej ojcem był Obcy?

– Tak. Obcy. Potem chciał uciec z doliny. Trzeba go było zanieść do świątyni. Pamiętasz?

– Pamiętam. I miał córkę?

– Strugę. I był jeszcze jeden młody, Kolec. Ten też nasłuchiwał się Obcego.

– Rozkazałem przecież znaleźć drogę, którą przyszedł Obcy, i zasypać kamieniami!

– Drogi strzegła Biała Śmierć. Ta droga mogła się jeszcze przydać.

– Chcesz powiedzieć, że uciekli w stronę rzeki?

– Tak. Kiedy się o tym dowiedziałem, wysłałem za nimi wojowników. Wojownicy doznali ich. I Biała Śmierć także. Ale twój brat zabił Białą Śmierć.

– Mój brat? – zdziwił się młodzieniec. Starszy wskazał Pawłysza.

– Pan?

– W tym momencie wkroczyłem na scenę – przyznał Pawłysz. – I teraz mi jakoś głupio. Jakbym wlaźł do cudzego ogrodu i natknął się na dozorcę.

– Sam jestem winien – powiedział szybko po rosyjsku młody człowiek. – Nie powinienem

był odchodzić.

– Przyszli razem – mówił Starszy nie patrząc na Pawłysza. – Wojownicy nie odważyli się sprzeciwić duchowi.

– Dobrze przynajmniej, że nie próbował pan zająć się śledztwem i karaniem winnych – zwrócił się młodzieniec do Pawłysza.

– Ja tam nie jestem nadmiernie agresywny – skromnie wyznał Pawłysz i odwrócił się do Starszego, prosząc go, żeby mówił dalej.

– Wielki Duch powiedział wczoraj, że może przyjść jego brat. Ale moje oczy okłamały mnie. Jestem stary, nie jestem już godzien być Starszym. Bogowie nagrodzili twojego brata ciałem.

– Bogowie są wszechmocni – pouczająco stwierdził młodzieniec.

– Twój brat omal nie zginął, kiedy wpadł w pułapkę na ścieżce.

– A co ze Strugą i Kolcem?

Starszy milczał i patrzył na młodzieńca, jakby pytał, czy pozwoli mu odpowiedzieć.

– Mów! – powiedział młodzieniec. – Musimy opuścić dolinę. Ale ja wrócę.

– Doścignęliśmy ich.

– Są zamknięci?

– Jego złapią szybko. Wojownicy go szukają.

– Tak... – młodzieniec pochylił się, długimi, wyprężonymi jak struna palcami prawie dotykając Starszego. – Tak...

– Nie gniewaj się, Wielki Duchu! Złapią go!

– A Struga? Co z dziewczyną? – zapytał Pawłysz.

– Złapali ją. Gryzła jak dzikie zwierzę.

– Co z nią?

– Umarła.

– Jak? – młodzieniec ruszył do przodu.

– Nie mogłem powstrzymać wojowników. Szarpała się. Wojownicy byli wściekli.

– Bez mojego pozwolenia? – młodzieniec machnął, ręką, jakby chciał rąbnąć pięścią w kamień.

Zrobi sobie krzywdę! – przemknęło przez myśl Pawłyszowi. Ręka swobodnie przeszła przez kamień. Zauważywszy zdziwione spojrzenie Pawłysza, młodzieniec natychmiast ją cofnął, i szybko, jakby nic się nie zdarzyło, powiedział:

– Bardzo źle zrobiłeś. Starszy! Nie posłuchałeś bogów! Powiedziane jest bowiem: „Nie zabijaj bez słowa bogów”.

– Jestem winien, Wielki Duchu!

I rzeczywiście Starszy był przerażony. Nie zdziwił go nawet wypadek z ręką Wielkiego Ducha. Opuścił głowę.

– Zabiłeś dziewczynę. Wypuściłeś Kolca. Dokąd uciekł?

– Nad rzekę. Ale złapią go przed zasypanym wejściem. Pobiegnę z wojownikami, ale nie mogę szybko biegać.

Młodzieniec na moment ukrył twarz w dłoniach. Myślał. Popatrzył na Pawłysza i powiedział cicho, ale z naciskiem:

– Proszę, niech pan siedzi i nie rusza się stąd. Gdyby nie pan, dziewczyna żyłaby do tej pory.

– Dobrze – powiedział zmieszany Pawłysz. Młodzieniec zwrócił się do Starszego:

– Idź za wojownikami. Wróciłeś tu, bo boisz się Kolca. Nie chcesz umierać. Idź za wojownikami. Pójdę przodem i zobaczę, dokąd pobiegł Kolec. Wskażę ci drogę. Idź już! Starszy tyłem wypełził z jaskini.

– Zaraz wrócę – powiedział młodzieniec. – Pójdę na przełaj. Wstał i podszedł do kąta pieczary.

– Proszę czekać.

Wtopił się w ścianę, jakby znikł w gęstej mgle.

Kolec dobiegł do zasypanego wejścia do pieczary. Przez szczeliny między kamieniami sączyło się światło. Wraz ze światłem płynęło do jaskini ciepłe, świeże powietrze.

Teraz Kolec nie myślał o Strudze. Widział tylko kamienie, czarne kamienie i światło, przenikające przez szpary między nimi. Popchnął skały; Odrobinę drgnęły, ale zostały na miejscu. Słysząc już było kroki i krzyki – byli już całkiem blisko! A może daleko? W jaskini inaczej słysząc dźwięki, niż na powietrzu.

Kolec oparł się o skałę plecami, wytrzymał wszystkie siły, ale skała nic poddawała się. Odbiegł kilka kroków, znów rzucił się na kamień i znów się nie udało. Gdyby miał czas, powoli rozchwiałyby kamienie i znalazł ten, na którym wspierała się owa skalna barykada.

Kroki na moment ucichły. Wojownicy nadśluchiwali.

– Jest tam! – rozległ się głos Szrona.

Kolec popchnął najwyżej umieszczony kamień. Ten spadł i oczy ściganego zaalało słoneczne światło.

– To on! – głos był już całkiem blisko.

Kolec wcisnął się w dziurę i, zdzierając skórę z boków, pchał się na zewnątrz, wijąc się jak ściśnięty w palcach robak. Podciągnął się rękami, wspierając je o ostre krawędzie skał. W ostatniej chwili uczuł uderzenie włóczni w piętę, ale już toczył się po kamieniach i trawie, zupełnie nie czując bólu. Podniósł się na czworaki i wielkimi skokami pognął ku rzece.

Uratowało go właśnie to, że nie zdążył rozebrać kamiennej zapory. Otwór, przez który się wydostał, był bardzo wąski, i udało mu się przez niego przecisnąć tylko dlatego, że śmierć następowała mu na pięty. Pierwszy ze ścigających go wojowników zaklinował się w dziurze. Trzeba było paru minut, aby go stamtąd uwolnić i rozwalić przeszkodę. Podnieceni zapachem

krwi wojownicy przeszkadzali sobie nawzajem. A kiedy w końcu wydostali się z jaskini, chłopak był już nad rzeką.

Na chwilę się zatrzymał. Oczy przywykły do światła, strach powoli mijał. Ukrył się za drzewem, rozejrzał, co się stało z pogonią. Wojownicy, miotający się u wejścia do pieczary, z tej odległości wydawali się mali i prawie niegroźni. Rzeka burzyła się na płyciźnie i Kolec wiedział, że trzeba iść dalej, na tamtą Stronę, gdzie wznosiły się niewysokie wzgórza.

Wszedł do wody. Była cieplejsza, niż w płynącym przez wieś strumieniu. Ale w strumieniu ledwie przykrywała kamienie na dnie, a tu była ciemna i głęboka. Dna nie było widać.

Wojownicy zauważyli go i ruszyli jego śladem. Z ranionej stopy płynęły strużki krwi i mieszając się z wodą wabiły stada drobnych robaczków, dla których krew była najwspanialszym smakołykiem.

Zrobił krok naprzód i noga po kolano zapadła się w miękki il. Woda przewracała go. Wszedł do niej po pas. Drugi brzeg był jeszcze bardzo daleko.

Chłopcu, wydało się, że wojownicy już go doganiają. Obejrzał się. Nie, wojownicy zostali w tyle. Noga straciła oparcie. Kolec wpadł do wody. Rzeka schwyciła go i poniosła, obracając, wciągając w głąb, nie pozwalając oddychać. Wynurzył się, odetchnął, gorączkowo przebierał rękami i nogami. Może udałoby mu się wypłynąć. Odziedziczona po przodkach pamięć tego, jak żyli w wodzie, pływali i nurkowali, istniała gdzieś jeszcze w jego ciele. Ale rzeka była bystra. Nie pozwalała płynąć, szarpała w wirach, aż w końcu wyrzuciła go na żwirową płyciznę. I nie wiedząc co robić, Kolec wyskoczył z wody jak wystraszona ryba.

Było płytko.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, nie mając odwagi zrobić kroku. W zalanych wodą uszach słyszał monotony szum. Ale gdzie podzieli się prześladowcy?

Spojrzał za siebie. Wojownicy już dotarli do rzeki. Byli w miejscu, gdzie woda go przewróciła i poniosła ze sobą. Zobaczył, jak jeden z wojowników podniósł rękę z włócznią.

Kiedy włócznia chrupnęła w wodę, omal nie doleciawszy do uciekającego, Kolec już biegł. Znow wpadł po pas w wodę, ale tutaj dno podnosiło się i biegł po drobnym, miękkim i ciepłym piasku, a wojownicy coś za nim krzyczeli, nie mając odwagi wejść do rzeki. Bali się wielkiej wody.

Kolec wdarł się w zarośla, wpełzł w głąb, zapominając o czyhających tam zwierzętach, zostawiając na cierniach kłaki sierści i krople krwi. Krzaki otulały go gałązkami, Kolec pełzł i pełzł, aż stracił przytomność.

Ocknął się. Może trwało to tyle, co mgnienie oka? A może pół dnia? Obok ktoś bezszelestnie przedzierał się przez zarośla. Kolec nie przejmował się ani ptakami, ani zwierzętami, ale w niedostrzegalnej, bezcielesnej obecności było coś niebezpiecznego, przerażającego. Zamarł, przestał nawet oddychać. Patrzył.

Przez polankę szybko szedł Duch. Nie, nie ten dobry duch poranny, a prawdziwy Wielki Duch, którego Kolec widział, kiedy jego i innych chłopców Starszy zaprowadził do świątyni, gdzie poddano ich Pierwszej Próbie. Wtedy Duch siedział na tronie, ubrany w złocisty płaszcz i otoczony jaskrawym światłem. Był łagodny i pytał o różne sprawy. Rozkazał im też robić rzeczy, o których Kolec i jego towarzysze zapomnieli, bo Wielki Duch kazał im zapomnieć.

Duch szedł prosto, krzaki zagradzały mu drogę kolącymi gałązkami, ale on nie zatrzymywał się, nie odgarniał gałęzi.

Ciemie wbijały się w jego pierś, przenikały nogi, krzywe pnie niknęły w nim i wychodziły z jego pleców. Dla Ducha przeszkody nie istniały. Szukał jego, Kolca, nędznego uciekiniera, który złamał prawo doliny, uciekając przed śmiercią. Kolec przypomniał sobie, jak w świątyni kazano mu zapamiętać jedno: że zawsze i we wszystkim powinien słuchać Starszego, bo on jest wyrazicielem woli bogów, biada temu, kto spróbuje postąpić inaczej. Duch był sam. Widocznie wojownicy zostali nad rzeką. Stał, jakby się nad czymś zastanawiał. Pewnie wyczuł uciekającego. Patrzył w tę stronę, gdzie ukrył się Kolec.

– Wychodź! – powiedział głośno. – Wychodź i bądź posłuszny! Widzę cię!

Ręce wsparły się o trawę. Reagując na rozkaz, nogi drgnęły, ale Kolec był bardzo słaby i ta słabość zatrzymała go, nie pozwoliła nawet otworzyć ust, żeby coś odpowiedzieć, oddać się we władzę wszechmocnego, wszystkowidzącego ducha.

I nagle stało się coś zaskakującego: Duch odwrócił się od wlokącego się w jego stronę Kolca i głośno krzyknął:

– Wychodź! Widzę cię!

Ale teraz nie mógł Kolca widzieć! Patrzył w inną stronę! I nagle Kolec zrozumiał, że Duch nie jest wszechmocny, że go wcale nie widział. Krzyczał, bo chciał go nastraszyć!

Duch szedł dalej, przeniknął przez krzaki, przez pnie niskich drzew, bezcielesny, choć podobny do człowieka. Zarośla nie szeleściły, nie było słyhać kroków.

I Kolec znów stracił przytomność.

– Błąd logiczny – powiedział głośno Pawłysz sam do siebie. Zmieszany i obrażony ciągle jeszcze posłusznie siedział na skórze. Dlaczego obwiniono go o śmierć Strugi? Przecież było odwrotnie – uratował ich przed Białą Śmiercią. A po raz drugi uciekali bez jego pomocy. Był wtedy na dole, w świątyni.

Młodzieniec był wyraźnie niezadowolony z przybycia tu kogoś obcego. I jak on przechodzi przez ściany? Czyżby z tego wynikało, że na Posterunku Żyje rasa istot, które potrafią przenikać przez materię? Wygląda na to, że w dolinie jest wysoko rozwinięta cywilizacja nietechnologiczna, bez miast, maszyn...

Gdzie kryją się przedstawiciele tej rasy? Pod ziemią? W oceanie? I wysyłają do innych plemion misjonarzy? ;i Kosmos jest ogromny. Ludzie poznali dopiero jego maleńkie fragmenty,

odkryli dopiero pierwsze tajemnice. I w wyobraźni Pawłysza powstał obraz całkiem już baśniowy – rasa bezcielesnych półprzeźroczystych istot, bujących w powietrzu i władających przyziemnymi, zdecydowanie mało poetycznymi dzikusami. Idiotyzm! Młodzieniec jest całkiem cielesny, nigdzie nie fruwał, a jak trzeba było, to biegał na własnych, osobistych nogach! A kamień! W jaki sposób ręka przeszła przez kamień? Zrobił ten ruch mimowolnie. A tak w ogóle to czemu nie zapadł się pod ziemię?

Pawłysz postukał palcem w płaski kamień – stół. Kamień był chłodny i twardy. Nad problemem przenikania łamali sobie głowy najwięksi uczeni, ale – jak na razie – bez żadnych rezultatów. Pawłysz podszedł do ściany w miejscu, gdzie zniknął młodzieniec. Żadnych ukrytych drzwi, najmniejszej szczeliny. Nie była to cyrkowa sztuczka. I raczej wątpliwe, żeby miało tu miejsce optyczne złudzenie!

Z zewnątrz dochodziły niewyraźne głosy. Zamamrotał „lingwista”, ale nie mógł się połapać, o co w rozmowie chodzi.

Pawłysz podszedł do drzwi. W dolinie zrobiło się ciemno. Zawisła nad nią wielka czarna chmura, pełząca nisko i dotykająca szczytów skał. Dwóch wojowników schodziło po ścieżce, wlokąc za sobą ludzkie ciało. Zatrzymali się przed szczeliną, w której o mało nie wylądował Pawłysz. Widocznie naradzali się, jak przenieść przez nią dźwigany ciężar. A na dnie doliny, przy chałupach także zrobił się ruch. Może i tam dotarła już niedobra wieść. Garstka ciemnych figurek podeszła niepewnie do strumienia i zatrzymała się na brzegu, jakby stanowił on granicę, której nie wolno przekraczać.

Rola gapia, obserwatora, jest tak długo interesująca, jak długo człowiek nie poczuje, że powinien się wmieszać, że jego pomoc jest niezbędna.

Niech diabli wezmą obietnicę, że będzie siedział w jaskini! Pawłysz szybko schodził w dół do wojowników.

Jeden z nich zgrabnie przeskoczył rozpadlinę, drugi rzucił mu koniec liny, którą obwiązane było ciało dziewczyny, i podążył za kolegą. We dwóch przeciągnęli ciało, które wpadło w szczelinę, głucho uderzyło o jej ściany. Wojownicy wywlekli je na wierzch i poszli dalej. Nogi ich wzbijały żółty pył, który kłębił się nad Strugą.

Pawłysz doścignął ich pod świątynią. Jeden z wojowników obejrzał się. Widok Pawłysza nie przestraszył go, myślał, że duch obserwuje ich zajęcia. Wciągnęli ciało w ciemne drzwi i wyszli, przysiedli na stopniach.

Drzwi zamknęły się powoli.

Pawłysz wszedł po schodach, drzwi poddały się łatwo. Za nimi była niewielka okrągła sala pod słabo oświetloną kopułą. Ciało Strugi nie było.

Opierał się plecami o półotwarte drzwi, patrzył na podłogę, gdzie powinno leżeć ciało dziewczyny, i czuł, jak bezsensowność zagadek planety odbiera mu siły. Wojownicy nie mogli

daleko zanieść Strugi. Po prostu nie mieli na to czasu. Podchodząc do świątyni widział wyraźnie, że byli w środku mniej niż minutę, spędzili tam dokładnie tyle czasu, ile trzeba, żeby wnieść ciało, położyć w tej sali i wyjść. W podłodze nie było żadnego włazu. Skała. Wyrównana co prawda, ale prawdziwa, lita skała. A więc jeżeli oczywiście nie wchodzi w grę siły nadprzyrodzone, ktoś czekał tu na wojowników i odebrał od nich ciało. Odnosił je gdzieś dalej do wnętrza. Być może byli to inni wojownicy? Albo słudzy świątyni? Tu powinny być jeszcze jedne drzwi. Wygląda na to, że na razie Pawłysz trafił do „przedziona”.

Świątynia Prostokąt światła, padający od wejścia, sięgał prawie przeciwległej ściany i na oświetlonej podłodze nogi Pawłysza rzucały dwa długie cienie dochodzące do kamiennej płyty pod ową ścianą. Słysząc tam było lekkie stukanie, krzątaninę, głuche kroki.

Pawłysz wyciągnął miotacz, zważył go na dłoni i schował z powrotem. Jak zauważył młodzieniec, wystarczająco już w dolinie narozrabiał. No i przy tym wątpił, żeby wojownicy ośmielili się tknąć ducha, jeżeli nie rozkaże im tego Starszy.

Obszedł dookoła kamienną płytę. Za płytą był równo wyciosany otwór. Zanim wszedł w ciemność następnego dzisiaj korytarza, włączył hełmową latarkę i podniósł głowę. W kamiennej framudze była szczelina – drzwi widocznie spuszczano z góry.

Niech się dzieje, co chce. Pawłysz zdecydowanie przestąpił próg. – Jest tu kto? – zapytał. Poruszył głową, jasny stożek omiótł ściany. I nagle zapaliło się światło. Pojawiło się w górze, stawało się coraz jaśniejsze, najpierw wydobyło z ciemności kształty otaczających go przedmiotów, potem zawędrowało we wszystkie kąty, nadając rzeczom kolor i fakturę.

Ciało dziewczyny leżało na niskim łożu, przykrytym błyszczącą tkaniną. Obrócona głowa, półotwarte usta, ręce obronnym gestem przytulone do piersi, konwulsyjnie ściśnięte ciemne piąstki. Za łożem długi, szary pulpit. Wskaźniki, ekrany, guziki i gałki. Macki wisiały martwe, zamarte pod różnymi kątami. Dwie maszyny na wieloczołowych nóżkach stały w pobliżu, migając światełkami. Roboty. W głębi ogromnej sali stały skrzynki, słoje i butle z organami wewnętrznymi, z okazami roślin, leżały skóry zwierząt. Dziwne muzeum czy laboratorium – mieszkanie misjonarza.

A może młodzieniec też jest tu gościem? Nie udało mu się odlecieć, utknął na tej planecie i spędzał przyjemnie czas, rządząc tubylcami?

Tak rozmyślając, pochylił się nad dziewczyną. Może jeszcze żyje?

Żyła.

Teoretycznie żyła. Raz, drugi drgnęło umierające serce. Znikł i znowu pojawił się puls. Pawłysz wyciągnął z tornistra aparat diagnostyczny, włączył go. Roboty podjechały bliżej. Pawłysz zwrócił się do nich:

– Nie przeszkadzajcie!

Maszyny niezrozumiale zaterkotały. Brzęczały.

„Lingwista” milczał – nic nie rozumiał.

Macki „diagnosty” przyłgnęły do ciała dziewczyny. Ssawki pod ciśnieniem włoczyły pod skórę umierającej różnego rodzaju stymulatory. „Diagnosta” mógł udzielić pierwszej pomocy bez konsultacji z Pawłyszem. Klapka otworzyła się, wyskoczyła plastikowa karta. Pawłysz odczytał wstępne rozpoznanie: złamania, stłuczenia, sińce, uszkodzenia narządów wewnętrznych, krwotoki. Biedna mała. Sięgnął po kieszonkową apteczkę. „Możliwe zejście śmiertelne” – zakończył rozpoznanie aparat diagnostyczny. Wyrzucił drugą karteczkę – wyniki analiz.

Karteczka podawała skład krwi, antycyiała, temperaturę. I oznajmiała, że potrzebna jest woda. Miejscowa woda.

– Słuchaj no ty – powiedział Pawłysz do robota, posługując się nastawionym na miejscowy język „lingwistą”. – Leć po wodę do strumienia! Robot nie ruszył się z miejsca.

– Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi? Robot ani drgnął.

– Cóż, trzeba się będzie pofatygować samemu. Tylko uprzedzam – powiedział groźnie Pawłysz – dziewczyny nie wolno ruszać! Zrozumiano? Potem zwrócił się z krótkim przemówieniem do aparatu diagnostycznego:

– Zostaniesz tu, kiciu. Jakby co, daj znać. – Dostroił swój odbiornik osobisty do fali „diagnosty”. W uszach nierówno stuknęło serce Strugi, powietrze z bulgotem płynęło do płuc.

Pawłysz pocałował do wyjścia.

Roboty tkwiły nieruchomo.

Przy wejściu do świątyni wojownicy usiłowali zatrzymać potarganą kobietę. Rwała się do wejścia, krzyczała. Kilka innych kobiet stało w pobliżu. Nie wtrącały się, tylko krzykiem podburzały szarpiącą się i przeklinały wojowników.

„Lingwista” zatrzeszczał i zaczął tłumaczyć:

„Mordercy! Zwierzęta! Robaki podziemne! Mordercy!” – „lingwista” próbował przekładać okrzyki wszystkich kobiet jednocześnie, dławił się, spieszył, sam sobie przerywał:

„Odejdź! Jak się Starszy dowie, to cię zabije! Nie gryź!” – tak krzyczeli wojownicy. I znowu:

„Mordercy! Gdzie moje dzieci!? Widziałam z dołu! Wszyscy widzieli! Nieśliście Strugę! Za coście ją zabili?! Bestie!”

Wojownicy nie chcieli używać włóczni, bali się pozostałych kobiet. Może były tam ich matki, babki, ciotki?

Pierwsze zobaczyły Pawłysza kobiety stojące z boku.

– Duuuch! – wrzasnęła przeraźliwie jedna z nich. Odskoczyły, schowały twarze w dłonie. Wojownicy zamarli. Tylko matka, nie zwracając na nic uwagi, usiłowała wdrzeć się do świątyni.

– Proszę przestać! – powiedział do niej Pawłysz. Kobieta usłyszała go. Ku zdumieniu Pawłysza nie skłoniła się jak pozostałe. Wściekłość oślepiła ją.

– Zabiłeś moje dziecko!

Wojownicy skrzyżowali włócznie, kobieta zawisła na nich.

– Jesteś ich matką? – zapytał Pawłysz.

– Morderca!

– To matka Kolca – wyjaśnił jeden z wojowników.

– I Strugi! – krzyknęła starucha, stojąca w tłumie kobiet.

– Moje dzieci! Gdzie są moje dzieci!

Kobieta ugryzła w ramię jednego z wojowników. Upuścił włóczę.

– Jesteś okrutny, duchu! Duchy to mordercy! Zabiły moje dzieci!

– Spokojnie – powiedział Pawłysz. – Jak dotąd nikogo jeszcze nie zabiłem.

– Niech przyjdzie Starszy, to dowie się, coś tu mówiła – warknął pokąsany wojownik, zdrową ręką złapawszy kobietę za włosy.

– Gdzie Struga?! Gdzie Kolec?! – krzyczała kobieta. – Byli mądrzy, dobrzy, piękni! Lepsi od was wszystkich! Za co zabiłeś Strugę?! Widziałam, jak ją nieśli! Teraz duchy wyjmą z niej serce!

– Ile razy trzeba wam powtarzać – ryknął Pawłysz chcąc przekrzyczeć hałas – że Struga żyje! Jest tylko chora! Ranna!

– Puść mnie do niej!

– Z przyjemnością. Tylko najpierw potrzeba mi wody. Dzban z wodą. Niech ktoś przyniesie!

– Woda?

– Tak, dla Strugi. Chce pić, nie rozumiecie?

– Zaraz! – krzyknęła z tłumu młoda dziewczyna i pobiegła w dół, do strumyka.

– Duch prosi o wodę! – podchwyciły inne kobiety. Jeszcze dwie czy trzy z nich pobiegły za dziewczyną. Tak jakby był jakiś postęp, pomyślał Pawłysz. Młody człowiek znów będzie niezadowolony. A w sumie haruję tu na jego dobrą opinię!

– A gdzie jest Struga? Chcę ją zobaczyć! – zwróciła się do Pawłysza matka Kolca.

– Poczekaj. Jak przyniosą wodę, to do niej pójdziemy.

– Chora?

– Wyzdrowieje – zapewnił kobietę Pawłysz. – Za pół godziny, no, może za godzinę, będzie ją można zabrać do domu.

Wojownicy uspokoili się, usiedli na schodach u nóg Pawłysza. Matka stała pochylona, wpatrzona w ziemię. Czekala. Rozumiała, że zasłużyła na karę, rozmawiając z duchem w taki sposób.

Krople deszczu wzbijały fontanny kurzu. Na placu zrobiło się ciemno.

– Będzie wielki deszcz – powiedziała starucha, podobna do tej, którą Pawłysz spotkał przy strumieniu. Stała na skraju placu.

– Starucha zna się na ziołach – powiedział konfidencyjnie wojownik.

– To dobrze! – ucieszył się Pawłysz. – Pójdzie ze mną do świątyni!

– Ludziom wolno wejść do świątyni – powiedział wojownik – tylko wtedy, gdy wezwie ich Wielki Duch.

– Nie pójdę! – oświadczyła stara. – Jeżeli Starszy odda Strugę matce, przyjdę do nich do domu. Dwie dziewczyny ciężko dysząc ciągnęły po ścieżce naczynie z wodą.

– Dajcie dzban, poniosę – zaofiarował się Pawłysz. Nie odważyły się zbliżyć do ducha. Postawiły dzban na ziemi. Pawłysz podniósł go i, wchodząc na schody, powiedział matce:

– Możesz iść ze mną.

Potem zwrócił się do wojowników:

– Was zawałam potem.

Kobieta dreptała za nim nie oglądając się za siebie. Roboty zauważyły ją i energicznie ruszyły do przodu. Pawłysz zatrzymał je:

– Damy sobie radę bez was! Stać, bo wyłączę! Nie rozumiały. Cicho szumiąc przysuwały się do kobiety. Ruszały wąsami anten. Kobieta oślepią jaskrawym światłem zmrużyła oczy. Pawłysz postawił dzban przy łożu, wyciągnął ręce i zdecydowanie odepchnął roboty. Zatrzymały się.

– Boicie się działań bezpośrednich – skomentował to Pawłysz. Zwrócił się do kobiety:

– Patrz na tę swoją Strugę, ale mi nie przeszkadzaj! Maszyny ci nic nie zrobią. – Kobieta przykucnęła u nóg Strugi, zerkając ze strachem na roboty. Szeptła: – Co z tobą zrobili, dziecko?

„Diagnosta” zdążył już przygotować całą serię karteczek – rozpoznań. Pawłysz szybko przejrzał je. Kobieta popatrzyła z niepokojem na aparat diagnostyczny i zapytała:

– Co on robi?

– To mój przyjaciel. Malutki duch. Leczy.

Kobieta głaskała stopy córki.

Nie miał szklanki ani filiżanki. Trzeba było odkręcić przykrywkę od lampy „diagnosty” i w niej rozpuścić lekarstwo. Pawłysz dał roztwór do spróbowania „małemu duchowi”. Ten sprawdził zestaw ze swoimi danymi i zapłonęło światełko „zgoda”. Lekarz wlał zawartość przykrywki do ust Strugi. Drugą ręką kontrolował puls. Aparat diagnostyczny nie marnował czasu. Lekarstwa dały oczekiwany skutek. Struga jęknęła, podniosła obronnym gestem ręce. Otworzyła oczy. Pawłysz sądził, że dziewczyna przestraszy się, ale poznała go od razu.

– Jesteś tu? – zapytała ledwie słyszalnym głosem. – A gdzie Kolec?

– Uciekł im – odpowiedział Pawłysz.

– Gdzie byłeś przedtem? Czemu nie przyszedłeś?

– Nie wiedziałem. Nic nie wiedziałem!

– To źle. Bili mnie.

– To się więcej nie powtórzy – obiecał Pawłysz. Ale nie był pewien, że mówi prawdę. Jutro

stąd odejdzie i zostawi ich bez opieki. Kim u diabła jest ten młodzieniec?

– Nie odchodź od nas – poprosiła Struga.

Przyjmowała jego obecność jako coś zupełnie naturalnego. Był jej własnym, osobistym duchem. Dobrym duchem. Wierzyła w duchy i chciała w nie wierzyć. Przecież światem, nawet tak ubogim, ludzie nie są w stanie rządzić. Wszechpotężne siły nieba i podziemia władają losami maleńkich, słabych ludzi.

– Nie odchodź – wyszeptwała matka Strugi.

– Pan do reszty zwariował, Pawłysz! – ostro zabrzmiał od drzwi wysoki głos. – Tłumaczyłem, błagałem, żeby siedział pan spokojnie u Starszego. Przecież obiecał pan nie wtrącać się więcej do spraw doliny!

Młodzieniec, opędzając się od ponuro zawodzących robotów, podszedł bliżej. Na jego widok matka upadła na twarz. Był prawdziwym gospodarzem doliny.

– Dziewczyna żyje? – zdziwił się młodzieniec. – Starszy mówił, że ją zabili.

– Umarłaby, gdybym tu nie przyszedł – powiedział Pawłysz. Jego głos zabrzmiał tak surowo, że młodzieniec wyciągnął do niego w błagalnym geście ręce:

– Proszę nie myśleć, że jestem potworem. I niech pan sobie nie wyobraża, że trafił pan do jakiejś galaktycznej spelunki. Jestem panu szczerze wdzięczny za uratowanie dziewczyny. To aparat diagnostyczny? Ciekawe. Wcale nie miałem w planie śmierci dziewczyny. Ale proszę zrozumieć, że mamy do czynienia z prymitywną cywilizacją. Na tym etapie rozwoju okrucieństwo jest sprawą naturalną. Niezależnie od pana interwencji dziewczyna byłaby martwa. Tak widocznie było jej pisane.

– A to dlaczego? – zapytał rozdrażniony Pawłysz. – Kto jej wyznaczył taki los?

– Nie ja – odparł młodzieniec. – Jej życie osobiste, jej postępowanie, którym staram się kierować. Z własnej woli uciekła rankiem z doliny i zabiłaby ją Biała Śmierć. Nie wiedziałem o tym. Nie umiem czytać w myślach. Pan ją uratował. To dobrze. Ale nie minęło pół godziny i znów uciekła. Uwierzyłem Starszemu, że dziewczyna nie żyje. Uwierzyłem i to był mój błąd. Ale nie jestem nieomylny.

– W porządku – powiedział Pawłysz. – Nie będziemy się kłócić. Nie wiem nic o panu, a wydaje się, że pan wie o mnie wszystko.

– Obiecałem to wyjaśnić i wyjaśnię, kiedy pan wróci na statek.

– Nie jestem przekonany, że mogę czekać.

– Dlaczego?

– Jak by to panu powiedzieć? Jak się człowiek raz w coś wplącze...

– A kto pana o to prosił? Nie uczą was na Ziemi, że nie należy pchać nosa w nie swoje sprawy?

– A pan?

– Ja? Między nami jest ogromna różnica: ja wiem dokładnie, co robię, a pan działa na ślepo.
– Wielki Duch podszedł do kobiety. – Skoro dziewczyna żyje, możesz ją zabrać do domu.

Młodzieniec nie ukrywał, że jest zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Coś powiedział do robotów i te potoczyły się do łóża. Kobieta poderwała się, wyszczerzyła zęby, chcąc bronić córki.

– Nie bój się! – powiedział Wielki Duch. – One tylko zanoszą Strugę do wejścia.

Dziewczyna próbowała wyrwać się z krzepkich macek robotów, ale opuściły ją siły.

– Chwileczkę! – Pawłysz zwrócił się do młodzieńca. – Niech no pan odgoni swoje cerbery!

– Kogo?

Pawłysz wziął już Strugę na ręce i niósł do wyjścia. Matka szła obok podtrzymując nogi córki.

Przy wyjściu, na schodach, Pawłysz stanął nie odwracając się, powiedział do Wielkiego Ducha:

– Niech ją odniosą wojownicy!

– Właśnie chciałem im to polecić.

Odprowadziwszy wzrokiem wojowników, którzy tym razem nieśli dziewczynę ostrożnie i delikatnie, Pawłysz wrócił do świątyni.

– Mam nadzieję, że Starszy nie będzie jej prześladował – powiedział.

– Uprzedzę go – zapewnił młodzieniec, wskazując ręką na jeszcze ciepłe od ciała Strugi łóżo.

Pawłysz podniósł z podłogi „diagnostę”, usiadł. Młodzieniec podszedł do pulpitu, sprawdził wskazania przyrządów.

– Nadchodzi silna burza – powiedział.

– Niepokoi to pana?

– Część wojowników została nad rzeką ze Starszym. Szukają Kolca.

– Zabiją go?

– Kazałem wziąć go żywcem.

– Jeżeli odda się w ich ręce – zauważył Pawłysz – i jeżeli opanują chęć zabijania.

– Powinni już wrócić. Szukają go u stóp skał. Na tamtym brzegu go nie ma.

– Sprawdził pan to?

– Tak. Wojownicy donieśli, że przeprowił się przez rzekę. Obawiam się jednak, że im się tylko wydawało. Boją się przebywać nad rzeką, gdzie mieszkają plemiona dzikich. Niepokoi mnie to, że Kolec mógłby znaleźć z nimi wspólny język.

– No i dobrze, niech się dogadają. Wolałby pan, żeby go zabili?

– Lepiej niech umrze – sucho stwierdził młodzieniec.

– A to dlaczego? Może już dosyć tych zagadek?

Zdenerwowany młodzieniec wpadł na łóżo i Pawłysz już-już miał na końcu języka: „Ostrożnie! uderzy się pan!” ale nie zdążył: nogi młodego człowieka przeszły przez mebel,

zupełnie jakby zostały odcięte pod kolanami. Krok – i młodzieniec cały i zdrow stał po drugiej stronie łóża, nawet nie zauważywszy, że tak swobodnie przeniknął przez całkiem materialny przedmiot.

– Nie mogę nalegać, żeby pan stąd odszedł – powiedział. – Nie mogę wyrzucić pana siłą.

Pawłysz zaparł się. Podejrzewał, że jeżeli da się stąd usunąć, nigdy nie będzie wiedział, co się właściwie zdarzyło.

– Trochę boję się zmoknąć – uśmiechnął się.

– Przecież ma pan skafander – nie docenił dowcipu młodzieniec.

– Tak czy inaczej boję się. Proponuję kompromis: pan mi krótko opowie, co pan tu robi, a ja opuszczę pańskie włości.

– Włości? Nie rozumiem tego słowa...

– Pańską posiadłość.

– Dokładniej: nasze laboratorium – powiedział młodzieniec. – Proszę minutę poczekać.

Tylko minutę!

I zniknął. Rozpłynął się w powietrzu. Strzałki przyborów zatańczyły i zamarły. Roboty stały nieruchomo. Przywykły do tego, że ich pan zapada się pod ziemię. Pawłysz mimo woli obejrzał się. Może młodzieniec pojawił się już za jego plecami? Ale nie.

Młodzieniec pojawił się na tym samym miejscu, z którego zniknął.

– Nie nudziło się panu?

– Dlaczego?

– Nie było mnie trzy minuty.

Pawłysz westchnął i powiedział:

– Przywykłem już tu do wszystkiego. Ma pan ochotę usiąść?

– Nie, nie jestem zmęczony. I wygodniej mi tak rozmawiać. Kwestia przyzwyczajenia.

– A gdzie pan był?

– Ja? Wyłączałem się. Musiałem wyjść z laboratorium. A propos – dowiedziałem się, że „Segeża” wyszła już z nadprzestrzeni i jest w tym układzie. Może pan więc oczekiwać gości.

– Dziękuję – powiedział Pawłysz. – Jest pan dobrze poinformowany.

– Rzecz w tym, że nie całkiem. Gdyby tak było, nie miałbym kłopotów ze znalezieniem pana. Otrzymałem rozkaz wyjaśnienia wszystkiego, żeby nie doszło do dalszych nieporozumień.

No, wreszcie! – pomyślał Pawłysz. Słuchać młodzieńca nie było łatwo. Biegał po pokoju, wymachiwał rękami, zniknął i pojawiał się w nieoczekiwanych miejscach. Pawłysz cały czas musiał kręcić głową, żeby nie stracić rozmówcy z oczu.

– Mnie tu nie ma – powiedział młodzieniec. – Nie wiem, czy pan to już zrozumiał. Jestem daleko stąd, na innej planecie. U siebie w domu, w laboratorium. To, co pan widzi, to moja trójwymiarowa kopia. Wyobrażenie, którym kieruję.

– A ja myślałem, że jest pan zdolny do przenikania przez ściany.

– Niestety nie. Takie rzeczy może robić tylko optyczny sobowtór. Młodzieniec szybko podszedł do Pawłysza. Ciało instynktownie zareagowało na możliwość uderzenia i mózg nie zdążył wydać mu rozkazu, aby nie ruszało z miejsca. Młodzieniec wtopił się na moment w Pawłysza i pojawił za nim. Rozległ się ironiczny głos:

– Zrobiło się ciemno, kiedy pańskie oczy znalazły się wewnątrz mnie?

– Mówiąc szczerze, nie wiem. Przymknąłem oczy – przyznał Pawłysz. – Pan powtarza wszystkie ruchy swego sobowtóra?

– Nie, to bardziej skomplikowane. Musiałbym godzinami biegać. Nie byłoby to najwygodniejsze. Najczęściej, jeżeli nie muszę opuszczać świątyni, powtarzam ruchy, które wykonuje moja kopia. Na przykład w tej chwili. Laboratorium przypomina pomieszczenia świątyni. Tylko w wyjątkowych wypadkach moja kopia wychodzi na zewnątrz. Wtedy kieruję nią jak kukielką.

– A normalnie nie ma takiej potrzeby?

– Nie. Ja, czyli moja kopia, przebywam w świątyni. Starszy przychodzi tu po rady i rozkazy. Stąd mogę obserwować wszystko, co dzieje się we wsi. Niech pan spojrzy!

Młodzieniec powiedział coś do robota i ten potoczył się do pulpitu. Jeden z ekranów zamigotał i zamienił w owalne okno, wyciosane w skale niedaleko od ostatniej chałupy w dolinie. Widać stąd było dróżkę, prowadzącą w dół potoku. Przed drugą z brzegu chatą stali dwaj wojownicy, o czymś tam rozmawiali, nie spiesząc się z powrotem w górę. Opodał plotkowały kobiety, jedna z nich pobiegła do chałupy.

Na rozkaz młodzieńca robot powiększył obraz tak, że twarz młodszego z wojowników zajęła cały ekran. Widać było każdy włos, kieł, przygryzający dolną wargę, czarne żyłki na żółtej źrenicy. Wojownik obejrzał się, popatrzył wprost na Pawłysza.

– Nie widzi nas – powiedział młodzieniec. – Nadajnik jest doskonale zamaskowany. Mam jeszcze kilka takich ekranów, które kontrolują różne punkty doliny. Zamontowaliśmy je w czasie ekspedycji.

Twarz zmniejszyła się i odpłynęła w dal. Widać było znów całą wieś.

– Jesteście tu czymś w rodzaju ekipy etnograficznej?

– Niezupełnie. Jesteśmy rzeczywiście wielkimi duchami doliny, władcami tych wszystkich istot.

Deszcz, do tej pory drobny, nagle zamienił się w potężną ulewę, która zapędziła kobiety i wojowników do chat.

– Szkoda, że nie mamy ekranów w chałupach. Ale to niestety niemożliwe, dopóki nie nauczą się budować domów z kamienia. Przesiedlić ich do pieczar się nie udało. Są zbyt wilgotne.

Deszcz chłostał ziemię, woda żłobiła kanaliki, ściekała do strumienia, który błyskawicznie

zamieniał się w rwącą rzekę.

– Odkryliśmy tę planetę jakieś sto lat temu. Żyli tu kanibale, hordy dzikusów. Rozum dopiero się budził. Mieliśmy nadzwyczajne szczęście, nie sądzi pan?

– No! – zgodził się Pawłysz.

– Ruszyliśmy w kosmos wcześniej, niż mieszkańcy Ziemi. Widzieliśmy więcej, więcej wiemy. Ale tylko tu udało nam się zaobserwować interesujący moment: rodzenie się cywilizacji, zaranie rozumu. Mogliśmy zbudować tu bazę, przekształcić planetę tak, aby służyła naszym potrzebom. Ale niczego nie zmienialiśmy, chcemy obserwować, jak rozwija się życie: pokolenie następuje za pokoleniem, uczą się rozpałać ogień, wymyślają koło, odrywają się od ziemi, ulatują w niebo. Wiemy oczywiście, że trzeba na to tysiącleci.

Młodzieniec skinął na robota. Robot podtoczył się do pulpitu, włączył jeszcze jeden ekran. Dolina tonęła w strugach wody,

– Nic tu nie widać – powiedział młodzieniec. – Gdzie podziali się wojownicy?

Strumyk wyglądał już jak rzeka, żółta woda zbliżała się do chat, niosła ze sobą zapomniany na ścieżce dzban.

– Zamontowaliśmy ekrany w różnych punktach planety, żeby móc przyglądać się życiu jej mieszkańców. Ale to było za mało. Jesteśmy uczonymi. Porwała nas wizja przeprowadzenia tego eksperymentu. I tak siedemdziesiąt lat temu wedle ziemskich miar czasu wywalczyliśmy nareszcie zgodę na dokonanie tego doświadczenia. Ma ono na celu dobro planety. Znaleźliśmy dolinę wystarczająco odosobnioną i łatwą do kontrolowania, w której mieszkało małe plemię. Przylecieliśmy tu, założyliśmy w górach bazę. Naszym pierwszym posunięciem było zamknięcie jedyne naturalnego wyjścia z doliny. Przynajmniej wtedy sądziliśmy, że było to wyjście jedyne. Jedną z pieczar przystosowaliśmy do potrzeb centrum obserwacyjnego, ustawiliśmy tu aparaturę radiową i kontrolną, ekrany i to wszystko, co mogło być potrzebne do śledzenia życia mieszkańców wsi. Potem ekspedycja odleciała. W laboratorium został mój poprzednik, a dokładniej jego kopia.

W ten sposób pieczara awansowała na świątynię, a on został Wielkim Duchem.

– Zaczęliście ingerować w rozwój planety?

– Tak. Postanowiliśmy przyspieszyć ewolucję. Przy czym jeszcze raz podkreślam, nie w skali całej planety. Prowadzimy nowe, na swój sposób fascynujące doświadczenie nad rozwojem malej grupy. Ale ulewa! – krzyknął nagle – duża rzeka wystąpiła z brzegów! Czegoś takiego jeszcze tu nie było! Żeby pan tu nie utknął, zanim woda się nie cofnie...

– Może być i tak – zgodził się obojętnie Pawłysz. Opowiadanie wciągnęło go. – Jak przestanie padać, woda opadnie. Oberwanie chmury nie trwa wiecznie.

– Nie mogliśmy czekać tysiąc lat, aż dzicy nauczą się krzesać ogień, ani dziesięć tysięcy, nim wymyślą koło. Ale mogliśmy nauczyć grupę ludzi, jak rozpalić ognisko. I druga sprawa:

sądzimy, że ewolucja fizyczna mieszkańców doliny nie jest jeszcze zakończona i można na nią wpływać. Genetycznie. Mój poprzednik spędził za tym pulpitem pięćdziesiąt lat. Ja jestem tu już od lat piętnastu.

– W jakim pan jest wieku?

– Nie jestem już młody – uśmiechnął się młodzieniec. Spieszył się: – Każde urodzone we wsi dziecko przynoszą do świątyni. Wojownicy zostawiają je w przedsionku i potem dziecko trafia do rąk robotów. Dokładnie je badają i informacje o jego cechach genetycznych przekazują do laboratorium. Jeżeli błędy genetyczne nadają się do skorygowania, poprawia się je. Jeżeli zaś dziecko nie jest zdolne w przyszłości do posiadania prawidłowego potomstwa, podejmujemy odpowiednie kroki. Część osobników likwidujemy. Dolina nie jest wielka i trzeba starannie dbać o jakość i ilość jej mieszkańców.

– Zbędnych zabijacie?

– Dla dobra pozostałych. Gdyby nie to, dolina byłaby już za ciasna. A przecież nie możemy dostarczać tu pokarmu czy przyganiać stad długonogów. Niech pan nie patrzy na mnie jak na potwora. Pan zapomina, Pawłysz, że trwa tu eksperyment, którego celem jest przyspieszenie ewolucji czyli dobro planety. Jeżeli nie wyeliminujemy jednostek niepełnowartościowych, wyrosną z nich idioci albo bezpłodne mutanty. I tak umrą, ale przedtem zmniejszą przypadającą na mieszkańców doliny ilość pożywienia.

– Ale dlaczego nie pozwolicie niektórym mieszkańcom doliny na opuszczenie jej?

– Dlatego, że jest to eksperyment, który (a jako uczonego powinien pan .to doskonale wiedzieć) powinien przebiegać w warunkach izolacji. Czynniki zewnętrzne są zbyt skomplikowane, abyśmy mogli uwzględnić je w doświadczeniu. Reszta mieszkańców planety stanowi dla nas grupę kontrolną. Tylko wtedy, kiedy dolina będzie całkowicie zamknięta, będziemy mogli porównywać bieg procesów ewolucyjnych. Na czym to skończyliśmy? Aha! Więc, jak mówiłem, bacznie obserwujemy każde dziecko, śledzimy jego rozwój, dobieramy mu potencjalnego partnera. To, do czego przyroda dochodzi metodą prób i błędów, my osiągamy starając się eliminować pomyłki. I wreszcie pewnego pięknego dnia wzywamy trochę podrośnięte już dzieci do świątyni, gdzie na nowo je badamy i wprowadzamy w ich mózgi potrzebne nam poglądy, wiedzę, instynkty i odruchy warunkowe. Poddajemy podrostki ukierunkowanemu promieniowaniu, żeby ich potomstwo wykazało odpowiadające nam cechy. A naszą wolę oznajmia im Starszy. Opuszczając świątynię chłopcy nie wiedzą, co się z nimi dzieło. Pamiętają tylko blask Wielkiego Ducha i to, że jego rozkazom nie wolno się sprzeciwiać.

– I nigdy nikt się w dolinie nie zbuntował?

– Tego nigdy nie da się przewidzieć. Nie jesteśmy czarodziejami, tylko uczonymi, akuszerami nowej cywilizacji. Być może dla obserwatora z boku nasza działalność jest niehumanitarna, ale...

Pawłysz przerwał mu:

– Doskonale zna pan mój język. Skąd?

– Niech mi pan tego lepiej nie przypomina! Musiałem wytrzymać iniekcje informacyjne. Myślę, że dzięki temu lepiej znam język rosyjski niż pan, mam większy zasób słów.

– Być może – zgodził się potulnie Pawłysz. – Na pańskiej planecie jest magazyn informacji językowej?

– Tak, i są w nim podstawowe Języki. Roztwór informacji wprowadza Się wprost do mózgu.

Młodzieniec zamilkł na chwilę. Potem mówił dalej:

– Takie roztwory są w naszym eksperymencie niezbędne. Na innych planetach mieszkańcy uczyli się przez tysiąclecia, jak uprawiać ziemię. W dolinie wystarczyło na to pół godziny. Wychodząc ze świątyni, opracowani przez nas tubylcy wiedzieli o siewie, orce i sprzęcie zbóż wszystko, co powinni wiedzieć.

Pawłysz wstał z łoża, podszedł do młodzieńca i stanął w odległości dwóch kroków od niego. Uczucie, że można wetknąć rękę w ciało rozmówcy, nie należało do przyjemnych.

– Słyszał pan kiedyś o jezuickiej zasadzie, że cel uświęca środki?

– Kiedy w zoo zamykacie zwierzęta w klatkach, to wcale nie jesteście wobec nich okrutni. Zmuszacie je do występów w cyrku. Ciągną dla was ciężary. Kroicie małpy, wszczepiacie im straszliwe choroby... – spokojnie mówił młodzieniec.

– Ale my to robimy dla ludzi! Jest różnica między człowiekiem a zwierzęciem. Rozum!

– A gdzie zaczyna się rozum? Czy czynności małp są tylko instynktowne? Powiedział pan, że prowadzicie eksperymenty w imię dobra człowieka, pana przyrody, istoty, która wywalczyła sobie prawo do nazwy „rozumna”. Mieszkańcy planety są na początku tej walki. Potrzebny im mistrz, nauczyciel, bo droga, którą idą, nie jest łatwa. Możemy im pomóc. W końcu, skracając tę drogę, chronimy ich przed niepotrzebnymi ofiarami. Reaguje pan bardzo emocjonalnie. Prawdziwy uczyony nie powinien podlegać emocjom, bo może to doprowadzić do zupełnie zbędnych tragedii.

– Owszem – zgodził się Pawłysz. – Kieruję się uczuciami, ale rozmawiałem z tymi waszymi królikami doświadczalnymi, ze Starszym...

– Starszy to tęga głowa, wspaniała mutacja. Był dumą mojego poprzednika.

– No i widzi pan! Dla mnie jest odrażający.

– Znowu emocje. Starszy to pomocnik bogów. Kiedyś wdzięczni potomkowie postawią mu w tej dolinie pomnik.

– Ale rozmawiałem też ze Strugą, z Kolecem. Czy pan się zastanawiał, co zmusiło ich do ryzykowania życiem i ucieczki z doliny? Instynkt?

– To nie jest całkiem tak. Kolec dostał się pod wpływ Obcego. Obcy był spoza doliny, dostał się tu przypadkowo, nie znaną nam drogą przez góry. Pozwoliliśmy mu tu zostać, bo

wydawało się, że jego wpływ będzie bardzo słaby. Poza tym odnowienie garnituru genetycznego mieszkańców doliny mogło być nawet interesujące. Pomyliliśmy się. Po pewnym czasie trzeba go było zlikwidować.

– Dlaczego?

– Nie zżył się z doliną. Był przyzwyczajony do wielkich przestrzeni. Znajdował się przy tym na niższym stopniu rozwoju niż nasi podopieczni.

Nawet aparat mowy miał rozwinięty niedostatecznie. Chętnie wypuścilibyśmy go na wolność. Chciałem z jego pamięci usunąć wszystko, co przeżył w dolinie, i polecić wojownikom, żeby zanieśli go nad rzekę. Ale nim zdążyłem zrealizować ten plan, Obcy uciekł. Przynieśli go w zupełnie beznadziejnym stanie. I tak musiał umrzeć. Nasza nadmierna miękkość doprowadziła do bardzo nieprzyjemnej sytuacji.

– Bardzo lekko pan o tym wszystkim mówi.

– Mnie osobiście szczerze żal tych istot. Przecież szkoda każdego żywego stworzenia, czy jest rozumne, czy nie. Ale muszę panu wyznać, że nie jesteśmy jedyną władzą w dolinie. Starszy ma tu wiele do powiedzenia. Jego siła opiera się na obyczajach doliny, na które nie tylko my mieliśmy wpływ. Zbiorowa mądrość plemienia też stanowi liczący się czynnik. Przez siedemdziesiąt lat formowała się tu mitologia, tradycja i obyczaje. Na przykład chorych i rannych plemię oddaje na ofiarę bogom. Przeszkadzają oni bowiem plemieniu, żywemu organizmowi społecznemu, który w ten sposób się ich pozbywa. Kiedy po raz pierwszy zetknęliśmy się z tubylcami, po prostu zjadali się nawzajem. Teraz niepotrzebne jednostki zabijają i przynoszą nam do świątyni. Gdyby nie my, dalej pożeraliby słabych i chorych. Obcy został oddany bogom. Ale przedtem zdążył zaszczepić niepokój w życie doliny. Przekazał swojej córce, Strudze, i przybranemu synowi tęsknotę do otwartej przestrzeni.

– Sam pan sobie przeczy. Tęsknota to uczucie dostępne tylko istotom rozumnym.

– Po prostu wyraziłem się nieściśle. Nie tęsknotę, lecz potrzebę wyrwania się z doliny nad rzekę, gdzie jest dużo pożywienia. Odwoływał się do żołądka, nie do rozumu. Przyjemniej jest jeść mięso niż zboże. Nauczyliśmy aborygenów uprawy roli i w ten sposób, częściowo świadomie, a częściowo dzięki koniecznej zmianie warunków życia, zmniejszył się udział mięsa w ich diecie. Kolec jest młodym i energicznym przedstawicielem plemienia. Proszę mu się dokładnie przyjrzeć: jego pokrywa włosowa jest rzadsza niż u innych, jest wyższy, trzyma się prosto. Pokładałem w nim wielkie nadzieje. Ciekawe byłoby sprawdzić, jakie potomstwo mógłby spłodzić z córką Starszego. Niezwykle interesujący problem. Może w ten sposób plemię wykonałoby duży skok naprzód, co oszczędziłoby nam wielu dziesięcioleci? Do tej pory nie tracę nadziei, że Kolec się znajdzie.

– A Struga?

– Struga? Ma fatalne obciążenie dziedziczne. Jest zbyt uczuciowa. Nie chciałbym, aby

w ogóle miała dzieci.

Pawłysz poczuł, że rozmowa przestaje go interesować. Nie mógł zrozumieć, dlaczego. Jakby już to wszystko kiedyś słyszał. Wiedział, co powie młody człowiek, nim ten otworzył usta, znał przygniatającą moc jego argumentów.

Wiedział nawet, że żadna siła nie jest w stanie zachwiać głębokim przekonaniem eksperymentatora o słuszności i niezbędności prowadzonych przez niego E badań.

Od chwili urodzenia całe życie dziecka było już zaplanowane przez wyzute z wszelkich uczuć automaty. Kiedy i z kim się ożeni, ile będzie miało dzieci, co będzie robiło. I jeżeli ktoś próbował walczyć ze swym losem, zostawał okrutnie ukarany przez Wielkiego Ducha i jego sługi – wojowników Starszego.

I jeżeli do tej pory los Strugi i Kolca nie był Pawłyszowi obojętny tylko dlatego, że uratował ich od śmierci i w ten sposób wyróżnił z tłumu mieszkańców doliny, to teraz zobaczył w uciekinierach herosów greckiej tragedii, którzy powstali przeciw swemu przeznaczeniu. I jak prawdziwi bohaterowie nie poddawali się.

– Może chciałby pan zapytać – doszedł do Pawłysza równy, obojętny głos – czy uczucie, którym powoduje się Struga, można nazwać miłością. Być może tak. Jako miłość możemy też określić stosunki między zwierzętami. Wszak samica idzie wszędzie za swym samcem. W każdym razie jestem przekonany, że to właśnie genetyczne obciążenie Strugi, jej pierwotna dzikość, którą odziedziczyła po ojcu, rozbudziła w Kolcu atawistyczne instynkty, instynkty drapieżnika, pragnącego zatopić kły w ciepłym boku długonoga.

– Proszę spojrzeć, ktoś idzie – przerwał mu Pawłysz. Roboty jak na komendę potoczyły się do wyjścia, skąd rozległ się stuk.

– Starszy – powiedział z ulgą młodzieniec. – On tak stuka. To umówiony znak. Nie wolno mu tu wchodzić, choć podejrzewam, że nieraz złamał ten zakaz.

Szybko podszedł do drzwi.

Pawłysz nie ruszył się z miejsca. Roboty patrzyły na niego surowo. A może tylko mu się wydawało? Czyżby złapali Kolca? Na pewno go nie zabiją. To zbyt cenny materiał genetyczny. Jest im potrzebny. Ale nigdy więcej nie zobaczy szerokiej równiny. I nigdy już Struga nie będzie biegła u jego boku. Przecież od Kolca w dużej mierze zależy powodzenie wielkiego eksperymentu...

Pawłysz podszedł do nastawionego na rzekę ekranu. Ulewa trwała. Rzeka wystąpiła z brzegów, podchodziła już do skał, wierzchołki drzew sterczały nad wodą jak ciemne wzgórki. W żaden sposób nie da się teraz dojść do statku.

– Odesłałem go – powiedział młodzieniec, wróciwszy do laboratorium. – Nie złapali Kolca i mam podstawy sadzać, że utonął w rzece.

Podszedł do ekranu, spojrzął na szalejącą wodę:

– Nie, nie mógł ocaleć. Smutnie westchnął:

– To był wspañiały samiec. Z czasem zostałby wodzem plemienia.

– Mnie też go żal – powiedział Pawłysz – ale inaczej. Nie z powodu eksperymentu.

– Wiem – młodzieniec gorzko się uśmiechnął i rozłożył długie, nerwowe ręce. – Ale cóż robić? Rozum zaleca wzajemną tolerancję. Zmęczyłem się dzisiaj, trzeba odpocząć.

Raz jeszcze spojrział na ekran, potem odwrócił się do Pawłysza:

– Próba powrotu na statek byłaby teraz niepotrzebnym ryzykiem. Proszę zostać tutaj. Nikt nie będzie pana niepokoił. Za parę godzin ulewa minie. W rzece woda opadnie szybko. Proszę spać, pan też jest zmęczony.

– Dziękuję – odpowiedział Pawłysz. – Skorzystam z pańskiego zaproszenia. Bardzo chciałbym, żeby chłopak przeżył.

– Nie zdaje pan sobie sprawy, jak niewiele znaczy życie dla pierwotnych plemion. Za kilka dni wszyscy, nie wyłączając Strugi, zapomną o tym młodym stworzeniu.

– A propos – zapytał Pawłysz. – Jeżeli odizolowaliście tak niewielkie plemię, to czy nie grozi mu degeneracja?

– Tak, to ważny problem. I za kilka lat odezwie się z całą ostrością. Od początku eksperymentu minęło dopiero pięć, sześć pokoleń. Żyją krócej niż pan czy ja, a mimo to widać już oznaki degeneracji. Wpływamy na strukturę genetyczną, sprawdzamy rozliczne mutacje – kusi nas czasem, żeby wyhodować zupełnie nową rasę, na przykład istoty o trzech oczach czy dwóch ogonach. Niewykluczone, że na innym kontynencie tej planety wybudujemy drugie laboratorium, gdzie będzie się badać różne warianty ewolucji fizjologicznej. Spróbujemy konkurować z naturą.

– Dobranoc! – powiedział Pawłysz.

– Ma pan coś do jedzenia?

– Tak. Nie jestem zresztą głodny. Zmęczyłem się.

– Idę! – oświadczył młodzieniec. – Czasem ta praca strasznie mnie nuży. Chciałoby się wyjechać na rok, dwa, odpocząć, podsumować osiągnięcia...

– A co pana tu trzyma?

– Poczucie odpowiedzialności. Nie mogę zostawić doliny na łasce losu. Każdy dzień jest brzemienny w niespodzianki. Jestem nauczycielem i moje miejsce jest tutaj. Poza mną nikt tak dobrze nie zna mieszkańców doliny, ich przyzwyczajęń, skłonności.

– Jest pan człowiekiem sukcesu.

– Tak – zgodził się młodzieniec. W tym momencie podobny był do misjonarza, gotowego iść na stos w kraju pogan i pełnego dumy z tego powodu. – Jaki to będzie piękny dzień, kiedy będę im mógł powiedzieć:

Dzieci moje! Jesteście rozumni! Mistrz nie jest wam więcej potrzebny. Mam nadzieję dożyć

tej chwili!

– Tylko czy ona nastąpi? – z powątpiewaniem zauważył Pawłysz.

Koniec Młodzieniec rozplątał się w powietrzu, zgasły ekrany, roboty odtoczyły się pod ścianę, i drzwi, bezszelestnie sunąc w prowadnicach, opadły w dół. Pawłysz poczuł, że strasznie chce mu się spać.

Starannie ułożył swoje rzeczy na podłodze. W czasie snu maska, której nie zdjął, zsunęła mu się z twarzy, ale nie zauważył tego – młodzieniec widocznie rozkazał robotom zwiększyć zawartość tlenu w pomieszczeniu.

Kiedy się obudził, młodego człowieka jeszcze nie było. Może spał? Albo wezwali go zwierzchnicy na jakieś zebranie? A może po prostu siedzi w swoim laboratorium i duma, jak pozbyć się Pawłysza i naprawić wszystko, co popsuł niespokojny Ziemianin?

Nie było jak umyć zębów, wody do mycia też nie było. Pawłysz stanął na głowie, pomajtał nogami, żeby rozruszać krew w żyłach. Roboty przysunęły się, włączyły przyrządy – widocznie rejestrowały niezwykle zachowanie, które pewnie uważały za część eksperymentu. Jadł śniadanie bez pośpiechu. Musiał się jeszcze zastanowić, czy od razu, jak przyjdzie młodzieniec, iść na statek – nie wypada demolować cudzego laboratorium tylko dlatego, że wedle własnej miary osądza się obcą cywilizację – czy też odwlekać odejście, zostać tu jeszcze jeden dzień, dowiedzieć się czegoś więcej o mieszkańcach doliny i przy okazji o misjonarzu, żeby móc wrócić do sporu z nim, dysponując faktami, a nie tylko emocjami.

Zdecydowawszy się na drugi wariant, podszedł do pulpitu i dojadając kanapkę usiłował zorientować się, jak włączyć ekrany. Zaniepokojony robot podtoczył się bliżej. Ale Pawłysz zdążył już nacisnąć odpowiedni guzik.

Ekran nastawiony na wieś pokazywał zalaną wodą dolinę. Woda sięgała już podłóg chat. Wieś i dolina za nią tonęły w delikatnym srebrzystym świetle – słońce przebijało się przez chmury. Deszcz ustawał.

Drugi ekran, patrzący w stronę rzeki, także okazał się oknem na srebrny dzień, dzień podobny chyba do ostatniego dnia potopu, w którym Bóg zatrzymał już na Ziemi deszcze, ale nie rozpuścił chmur. Z powrotem na statek przyjdzie chyba poczekać.

Siedzieć w zamknięciu Pawłysz nie miał ochoty. Dojadł kanapkę, wypił kawę i zaczął się ubierać. Jeszcze zatrzaśnięcie przyłbicy i można będzie opuścić tę smutną świątynię. Młodzieńca nie było widać.

Przez ostatnie pół godziny Pawłysz wymienił w kamerach taśmy, dokładnie obejrzał swoje więzienie, próbował znaleźć sposób na nawiązanie łączności z laboratorium i popędzić młodzieńca. Postanowił naciskać wszystkie guziki po kolei. Dotykał już pierwszego rzędu przycisków, kiedy na ekranie zauważył ruch. Zastygł z ręką w powietrzu.

Maszerując po błocie i wodzie zbliżali się do wsi wojownicy. Starszy dreptał za nimi,

czasami szeroko otwierał usta – widocznie poganiał ich, wydawał jakieś rozkazy. Wieś milczała. Nikt nie wyrzwał z chałupy, nie wyszedł na spotkanie.

Pawłysz pragnął, żeby przeszli obok domu Strugi i poszli dalej, zająć się swoimi sprawami: polowaniem na ogromne muchy, sprawdzaniem, czy Biała Śmierć nie zostawiła potomstwa, czymkolwiek. Ale wojownicy zatrzymali się przed wejściem do domu rannej dziewczyny. Starszy stanął przed nimi i zaczął coś wykrzykiwać. Wojownicy stali, patrząc tępo przed siebie, tak jak powinni stać zdyscyplinowani żołnierze wszystkich miejsc i czasów. Pawłysz machinalnie wyciągnął rękę, odszukał gałkę strojenia – obraz przybliżył się.

Matka Strugi wyrzała na zewnątrz, wypełzła z chałupy, mając chyba nadzieję, że przebłaga Starszego. Ten jednak krótkim gestem wskazał ją wojownikom. Schwycili kobietę i odciągnęli dalej. I tylko Starszy odważył się wejść do chaty. Ubezpieczało go dwóch wojowników. Operacja była przeprowadzona bezbłędnie. W gestach Starszego można było wyczuć bezkarność małego tyrana, za którego plecami stoi potężna siła.

Pawłysz krzyknął do stojącego obok robota:

– Otwórz drzwi!

Robot nawet nie drgnął.

Pawłysz włączył „lingwistę”, powtórzył rozkaz, ale „lingwista” poprzedniego dnia nie wchłonął wystarczającej ilości informacji. Język robotów był mu obcy.

– A niech was szlag trafi! – zaklął Pawłysz. Podbiegł do drzwi i próbował znaleźć uruchamiający je mechanizm. Niestety, wieczorem nie przyjrzał się dokładnie czynnościom zamykających drzwi robotów. Rąbnął w nie pięścią. Zabrzęczały głucho, ale nawet się nie zachwiały.

Wrócił do pulpitu. Trzeba będzie zachować się jak źle wychowany słoń w składzie porcelany.

Starszy tyłem wycofywał się z chałupy. Za nim wyleciała na zewnątrz znająca się na ziołach starucha. Upadła twarzą w błoto, ale żaden z wojowników nie ruszył się, żeby ją podnieść. Dwaj z nich powlekli nad strumień chorą dziewczynę.

Pawłysz nie miał siły dłużej czekać. Nacisnął kilka guzików naraz. Pulpit rozjarzył się światłkami, zadrgały wskazówki wskaźników. Robot próbował odsunąć go od przyborów, ale zdenerwowany Pawłysz popchnął go wprost na drugiego robota, który spieszył na pomoc zaatakowanemu koledze.

Pawłysz naciskał guziki coraz energiczniej. Ktoś wreszcie powinien go usłyszeć! Powinno wreszcie dotrzeć do kogoś, że w świątyni dzieje się coś niedobrego!

Wojownicy nieśli Strugę w stronę ścieżki. Może do świątyni? A może do pieczary Starszego?

– Durnie! Mało wam tego, co zrobiliście z nią wczoraj?!

Starszy szedł za nimi. To on był Przeznaczeniem. Mały Wielki Duch. Za jego plecami ludzie wypełzali z chałup. Ktoś pomógł staruszce pozbierać się.

Równocześnie na drugim ekranie mignęło coś czarnego. Pawłysz spojrzął i zobaczył, że po rzece, ledwie odróżniając się od porwanych przez wodę pni, płynie długa dębanka. Ludzie w niej wyglądali jak pionowe kreseczki. Łódka zbliżała się. Pawłysz powiększył obraz i znowu spojrzął na pierwszy ekran. Matka Strugi rzuciła się na wojowników, wczepiła się w pierś Starszego. Starszy szarpnął się do przodu, wyszczerzył zęby, przykucnął – zupełnie jakby się przestraszył.

Krzyknął. Jeden z wojowników odwrócił się i uniósł włócznię nad głową kobiety.

Łódka skręcała, zbliżała się do urwiska, płynęła wprost na kamerę. Może w łódce jest Kolec?

Kobieta przewróciła się w kałużę, dostała drgawek i woda ciemniała od jej krwi. Wojownicy nadal szli bez pośpiechu. Starszy dogonił ich. Ludzie z chałup podchodzili do leżącej kobiety. Milczeli.

Łódka zbliżyła się do urwiska.

– Co tu się dzieje, Pawłysz? Postanowił pan zdemolować laboratorium? Tego jeszcze brakowało! Zaczynam przeklinać dzień...

Pawłysz wyłączył drugi ekran. Nie chciał, żeby młodzieniec spostrzegł łódkę. Miał nadzieję, że na jej dziobie stoi Kolec, który miał zginąć w czasie powodzi. Uparty Kolec.

– Zabili ją – powiedział. – Niech pan patrzy! Czy to też było przewidziane w eksperymencie?

– To rzeczywiście incydent godny pożalowania – zgodził się młodzieniec. Jeszcze bardziej powiększył obraz i na ekranie widać było tylko plecy pochylonych nad zabitą ludzi. Włochate, przygięte plecy.

– Jak to się stało?

– Niech pan otworzy drzwi! – krzyknął Pawłysz. – Włoką Strugę na górę! Starszy przejmuje władzę w swoje ręce!

– Proszę się uspokoić – powiedział młodzieniec. – Na wczesnych etapach rozwoju społeczeństwa władza jest ograniczona.

– Sam mnie pan przekonywał, że kontrolujecie wszystko, co się dzieje w dolinie. Może po prostu Struga jako typ nieustabilizowany psychicznie przeszkadza wam w prawidłowym przebiegu eksperymentu?

Pawłysz dostrzegł, że drzwi powoli otwierają się.

– Proszę tu zaczekać – rozkazał młodzieniec. – Dam sobie radę bez pana. Nie mamy prawa podrywać autorytetu Starszego. Jest nam bardziej potrzebny, niż połowa mieszkańców doliny.

Pawłysz nie posłuchał młodzieńca. Wybiegł za nim ze świątyni. Orszak zbliżał się.

– Stójcie! – głos młodzieńca niósł się po całej dolinie. Ciekawe, pomyślał Pawłysz, jak oni rozwiązali problem przenoszenia dźwięku? Wojownicy stanęli. Rzucili Strugę na ziemię.

– Starszy, wejdz do świątyni! – rozkazał młodzieniec.

– Jestem posłuszny, Wielki Duchu! – odparł Starszy, chyląc się w niskim pokłonie. Ruszył po kamiennych schodach. Zatrzymał się przed Duchem.

– Struga nie będzie żyła – powiedział po prostu.

– Nie dałem ci takiego rozkazu.

– Struga nie będzie żyła. Jeżeli będzie żyła, to jutro dwóch, trzech, czterech ucieknie z doliny. Powiedzą: Starszy już nie jest potężny. Duch opuścił go.

– Zabiłeś jej matkę?

– Podniosła na mnie rękę, chciała zabić. Moi wojownicy byli szybsi. Młodzieniec rozłożył ręce:

– Sam pan widzi, że to wszystko brzmi logicznie;

– I pan się z tym zgadza?

– Starszy nie myśli o sobie. Myśli o losie plemienia.

– Wygodne usprawiedliwienie!

– Ależ z panem się trudno dogadać!

– I pan bardzo żałuje, że tu trafiłem. Nie jest pan wcale pewny, czy postępuje pan słusznie. Wszystko zaczyna się wymykać spod kontroli, ale pan w dalszym ciągu stara się wierzyć w czystość eksperymentu. Gdyby nie ja, dawno już zgodziłby się pan na zabicie dziewczyny. Tym bardziej, że stanowi ona interesujący obiekt dla anatomopatologów.

– Ma pan rację – sucho odpowiedział młodzieniec.

Starszy czekał, głęboko przekonany o słuszności swego postępowania.

– Nie mogę wtrącać się w ich decyzje – dodał młodzieniec. Pawłysz milczał. Zdecydował, że nie odda Strugi w ich ręce, choćby bardzo nie podobało się to wojownikom, Starszemu i bezcielesnemu misjonarzowi.

Gdzie jest Kolec?! Gdyby to on był w łódce...

– Co zrobicie z dziewczyną?

– Wypełnię wolę duchów – odpowiedział Starszy, a Pawłyszowi zdawało się, że się przy tym leciutko uśmiechnął. Bogowie są wszechmocni, ale od czasu do czasu da się ich ocyganić. Najlepiej niech sądzą, że Starszy jest im bezwarunkowo posłuszny.

– A więc ją wypuść – wtrącił się Pawłysz. Starszy był zdumiony. Odpowiedział młodzieńcowi, nie zwracając uwagi na Pawłysza:

– Duchy mówią: „Starszy karze winnych i daje ludziom pożywienie. Jeżeli Starszy nie będzie karał winnych, zostanie zabity. Kto wtedy da ludziom jeść?”

– Niech pan odda Strugę mnie – powiedział Pawłysz po rosyjsku.

– Po co ona panu? Weźmie ją pan na Ziemię? Zamknie w zoo?

– Nie. Będzie żyła na tej planecie. Pomogę jej znaleźć plemię ojca.

– Niech będzie ofiarą dla Wielkiego Ducha – wyszeptał Starszy. – Wielki Duch lubi ofiary.

– Rób, jak uważasz – powiedział młodzieniec.

– Przyniesiemy jej ciało do świątyni. I ciało jej matki. – Starszy znów skłonił się przed duchem. – Spójrzysz w ich wnętrza i odczytasz znaki losu.

Struga oprzytomniała. Wsparła się na łokciu i zobaczyła Pawłysza.

– Duchu – jęknęła – gdzie Kolec? Boli mnie!

– Uspokój się. – Pawłysz pogładził ją po głowie. – Kolec przyjdzie.

– Niech pan nie mówi od rzeczy – odezwał się młodzieniec. Zszedł ze schodów i zbliżył się do Strugi.

Wojownicy i Starszy przyglądali mu się bacznie. Pawłysz spojrzał w górę. Wedle jego obliczeń ludzie z dłubanki powinni pojawić się już u wejścia do pieczary. Wydawało mu się, że ciemna sylwetka mignęła na skraju urwiska i znikła.

W dole, nad potokiem, stali mieszkańcy wsi.

Deszcz prawie się skończył i wiatr rozpędzał chmury.

– Przecież może pan powiedzieć, że Struga jest panu potrzebna w świątyni! – krzyknął rozpaczliwie Pawłysz, chcąc zyskać na czasie.

– Prawa, którymi kierują się żyjące tu istoty, są ponad moimi i pana życzeniami, Pawłysz!

– To przecież wy stanowiliście prawa!

Na górze pojawili się ludzie. Pawłysz starał się nie pokazywać po sobie, jak bardzo interesuje go wejście do pieczary.

– Prowadź ją! – rozkazał młodzieniec. Potem spojrzał na Pawłysza. W głosie jego dźwięczał smutek. – Jest pan tu obcy, nie rozumie pan psychiki tych istot, chce pan złamać ich życie, wepchnąć z powrotem w otchłań dzikości. Czym się pan kieruje?

Na znak Starszego wojownicy złapali Strugę pod pachy.

– Duchu! – powiedziała do Pawłysza. – Zabiją mnie!

– Nie! – wrzasnął Pawłysz, starając się krzykiem odwrócić uwagę wojowników od pełzających po ścieżce ludzi. Za moment pojawią się z za zakrętu.

– Mówię ci...

Nie zdążył dokończyć.

Kolec stał przy zakręcie, parę metrów nad ścieżką. Kręcił procą i Pawłyszowi wydał się podobny do młodego Dawida.

Kamień uderzył Starszego w ramię. Starszy odwrócił się, próbując dostrzec, skąd pocisk nadleciał, ale nie zdążył, bo stojący obok Kolca człowiek przygwoździł go do ziemi dzirytem.

Wojownicy rzucili się w górę, zapomniawszy o Strudze i duchach. Ale tylko dwóm udało się dotrzeć do Kolca, bo dziryty myśliwych trafiały ich w biegu. Na górze rozpoczęła się walka. Kolec, wyrwawszy się wojownikom, wielkimi skokami pędził na dół, do Strugi...

Słońce chowało się za horyzontem, kiedy Pawłysz wyszedł z pieczary i zatrzymał się przy stercie kamieni.

Kolec stał z tyłu. Odprowadził Pawłysza do wyjścia.

– Wrócisz, duchu? – zapytał.

– Postaram się – odpowiedział Pawłysz – ale nie mogę obiecać.

– Powiem we wsi, że wrócisz – powiedział z przekonaniem Kolec.

– Niech będzie! – Pawłysz uśmiechnął się.

– Daj mi światło...

– Jakie światło?

Kolec wskazał zapasową latarkę.

– Po co ci?

– Pójdę nocą w dolinę. Biała Śmierć boi się światła.

– Biała Śmierć nie żyje.

– Są inne zwierzęta.

Kolec tak bardzo chciał mieć latarkę, chciał uczestniczyć w wielkich czarach!

– Mogłem sam zabrać. Nie widziałeś – powiedział. – Ale nie wziąłem.

– Twoje dobre serce, młody człowieku, przechodzi ludzkie pojęcie – zauważył po rosyjsku Pawłysz, wyłączwszy „lingwistę”.

Kolec nie zrozumiał go, wyciągnął rękę. Pawłysz odpiął latarkę i podał ją chłopcu. Ten nacisnął guziczek, światło latarki w dzień było niewidoczne i Kolec skierował je w głąb pieczary.

– Dobre światło – powiedział. – Idę. Ludzie Obcego zaczną ucztę beze mnie. To nie będzie dobrze.

– Rzeczywiście, nie byłoby to najlepsze – zgodził się Pawłysz. – Mogą wszystko zjeść.

– Nie, wszystkiego nie zjedzą – poważnie odpowiedział Kolec. – Jestem wielkim myśliwym i wielkim wojownikiem. Zostawią dla mnie jedzenie.

– W porządku, idź już, bohaterze – zaśmiał się Pawłysz. – Pilnuj, żeby Struga leżała i niech staruszka da jej zioła.

– Wiem – odpowiedział Kolec. I poszedł. Odwrócił się i odszedł. W dolinie nie umieli jeszcze mówić „do widzenia”. A poza tym Kolec, choć uważał się za wielkiego myśliwego, wcale nie był pewien, czy rzeczywiście zostawią mu mięso.

Nad rzeką Pawłysz zatrzymał się. Woda już opadła, ale wciąż jeszcze była mętna. Trzeba będzie wejść do rzeki. Pawłysz sprawdził, czy dobrze przymocował kamery.

– Odszedł pan, kiedy mnie nie było – usłyszał za sobą. Młodzieniec, jak przystało duchowi, zbliżył się bezszelestnie. – Biegnę za panem od samej świątyni. To wymaga wiele energii.

– Nie mamy już chyba o czym rozmawiać.

– Jeszcze tylko jedno pytanie.

– Słucham?

– Pan wyłączył drugi ekran? I widział pan, jak dzicy podchodzili do doliny?

– Sam pan mnie przestrzegał przed wtrącaniem się w życie wsi!

– Gdyby nie pan, Kolec nigdy nie odnalazłby plemienia Obcego.

– Niech każdy z nas pozostanie przy swoim zdaniu – powiedział Pawłysz i zrobił krok do przodu. Woda obmywała jego ciężkie buciory. – Jestem przekonany, że jeżeli historia z Kolcem nie wydarzyłaby się teraz, to nastąpiłaby za tydzień, za rok, za dwa. Ale i tak musiałyby się przydarzyć. Zaprojektowaliście eksperyment z myślącymi istotami, biorąc pod uwagę tylko ich instynkty. Chcieliście zmienić dzikusów w istoty rozumne, odbierając im przy tym prawo do korzystania z rozumu. Szczerze mówiąc, jestem zadowolony, że tak się stało. A żeby to wszystko dotarło do pana, potrzebne były aż tak dramatyczne wydarzenia...

– Ma pan trochę racji – zgodził się młodzieniec. Szedł obok Pawłysza, ledwie tykając stopami wody. – Każdy ma prawo się mylić.

– Jeżeli będziecie wybierać nowego wodza, weźcie pod uwagę, że Kolec lubi się przechwalać.

– Myślałem o tym wszystkim. Lepiej by chyba było, żeby pan się tu nie pojawił. Do widzenia!

– Żegnam – odpowiedział Pawłysz. – Nie żałuję, że tu przyszedłem. Przynajmniej nie uda się wam znowu odciąć doliny od reszty planety. Ludzie będą mieli dużo mięsa, a ich świat stanie się obszerniejszy.

– Tak, trzeba będzie przerwać eksperyment. Ale dalej będziemy prowadzić obserwację.

– Jasne, obserwować trzeba – zgodził się Pawłysz.

Woda sięgała mu już do pasa, wciągała w głąb, a idący po falach młodzieniec przemawiał z góry, jakby z nieba.

Pawłysz ruszył do przodu i zanurzył się po pierś. Potem woda przykryła mu głowę.

Kiedy wyszedł na drugi brzeg, młodzieńca już nie było.